Nr. 13. Warszawa, dnia 31 (19) Marca 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerwy w odbiorze pisma.

POLITYKA.

PRZECIW LORDOM.

Dzienniki nasze tego uważają za umysł dojrzały i stateczny, kto kornie bije czołem przed zwyczajami parlamentaryzmu angielskiego. Izba lordów jest źrenicą w ich oku. Wątpię, czy nawet w samej Anglii, wśród najzagorzalszych czcicieli przywilejów landlordyzmu, znajduje się takie mnóstwo ślepych bałwochwalców, tak zginających karki przed tradycyą Izby wyższej. Pomimo to w łamach naszego dziennikarstwa od niejakiego czasu zaczęły ukazywać się artykuły, powątpiewające o tem, czy lordowie nie ulegną pod pociskami, jakie na nich spadają. Wprawdzie w każdym wierszu czujesz zapewnienie, że różnym earl'om i nie-earl'om ani jeden włos z głowy nie spadnie, że dzisiejsza gorączka anti-lordowska minie, ale bądź co bądź, wątpienia te świadczą, że tam, na wyspie, w maszyneryi wiekowej coś zaczyna się psuć i odmawiać posłuszeństwa. Rzeczywiście, Anglia jest obecnie widownią nader gwałtownego szturmu do przywilejów arystokracyi rodowej. A nie myślmy, że owa opozycya podnosi się z pośród jakichś grup skrajnych, ani też nie sądźmy, ażeby jej przewodniczyły umysły warcholskie. Zgoła nie! Owym atakiem kierują weterani parlamentarni i wytrawni mężowie stanu. Taki Harcourt, może najwybitniejsza po Gladstonie postać w obozie liberalnym, nie waha się użyć wyrazów, które publicysta warszawski niewątpliwie uznałby za dowód niedojrzałości. Posłuchajmy chociażby paru ustępów jego mowy, w której usiłuje dowieść, że Izba lordów jest zupełnem zerem. „Gdyby ona — według niego — uchwaliła większością 400 głosów *votum* nieufności dla rządu, nikt na to nie zwróci uwagi. Gdyby najgwałtowniejszej udzieliła nagany któremuś z ministrów, przeszłoby to także niepostrzeżenie. Niema ona głosu w przedmiocie podatków, jakie ludność kraju uiszcza, nie posiada prawa wtrącania się do armii i marynarki. Gdyby jutro wypowiedziała wojnę, rząd nie wypowiedziałby wojny; gdyby uchwaliła pokój, pokój nie zostałby zawartym. Jest bezsilną we wszystkiem, cokolwiek dotyczy administracyi kraju.“ I tak dalej w tym samym tonie ciągną się wywody, że Izba wyższa nie wykonywa najmniejszej czynności pożytecznej i po za tamowaniem biegu reform nie spełnia najmniejszej funkcyi.

Było to w początkach lutego.

Jeszcze nie przebrzmiało wrażenie, wywołane przez Harcourta, a już czterech jednocześnie ministrów — używamy terminu lądowego, zamiast brzmiących po staroświecku tytułów rządu angielskiego — wystąpiło z niemniej siarczystą filipiką przeciwko lordom, której rdzeniem było: „huzia na lordów!“ Nie minęło i parę tygodni, a sędziwy starzec, składając ze swoich ramion ciężar władzy, na której dźwiganie sił mu już nie starczyło, w Izbie gmin zaśpiewał swoją łabędzią pieśń pożegnania z tego samego tonu: „precz z lordami!“ Odmówił on przytem przyjęcia od królowej odpowiedniego tytułu. Lordowie odetchnęli — na krótko. Zdawało im się, że gladstoniści działali, oczarowani urokiem swojego wodza, który znowu, jak każdy starzec, spieszył się niby z pozostawieniem po sobie spadku politycznych reform i planów. *An old man in a hurry* — starzec w pośpiechu! Tak dowcip torysowski traktował całą politykę gladstonowską z ostatnich czasów. U steru rządów stanął ktoś inny, z pochodzenia lord, przeciwko któremu z tego powodu podniosło swój głos lewe skrzydło obozu, nie dowierzało bowiem rodowemu arystokracie, według pantoflowej poczty więcej dbającemu o to, aby klacz jego zyskała pierwszą nagrodę na wyścigach, aniżeli o to, aby jej właściciel zajął stanowisko premiera. I cóż się okazuje? Earl of Roseberry w ciągu niespełna dwóch tygodni miał trzy mowy programowe i w każdej pod pręgierzem postawił przywileje lordów.

A zatem ruch przedstawia się nietylko poważnie, ale nawet imponująco. Premierzy, ministrowie i lordowie przewodzą owej agitacyi, która na sztandarze swoim wywiesiła hasło: precz z lordami. Należy przyznać, że ci ostatni zasłużyli na tę chłostę, jaką obecnie odbierają. Lord Salisbury, którego słowo jest w Izbie wyższej rozkazem, bywa przedstawiany w postaci obłąkańca, przykładającego dymiący lont do beczki z prochem, na której siedzi. Wszystkie reformy, wypracowane przez rząd w ciągu ostatnich dwóch lat, doznały u lordów jak najgorszego przyjęcia. Nie mówimy o projekcie irlandzkiego *Home-rule*, który, uchwalony przez Izbę gmin, w wyższej poszedł do kosza większością paruset głosów przeciwko kilkudziesięciu. W danym wypadku lordowie zdołają jeszcze znaleźć jakieś ideowe wytłomaczenie swego oporu. Ale taki sam los spotkał też prawo o przymusowem ubezpieczeniu robotników — bez najmniejszego powodu. To samo było z bilem o reformie zarządów parafialnych, sprawie nader ważnej dla Anglii i Walii. Izba wyższa, niby tama, stanęła wpoprzek wszelkiemu rozwojowi i jak gdyby za zaszczyt dla siebie zaczęła uważać kładzenie swego *veto* na wszelkiej pożytecznej uchwale przedstawicielstwa narodowego. Taka jej postawa ma swoje głębsze przyczyny, świadczy ona przedewszystkiem, że prawodawcza maszynerya angielska, lubo z pozoru jest tem, czem ongi była, w gruncie rzeczy uległa grunto-

wnej zmianie i składa się z odmiennych żywiołów. Wprawdzie tu i owdzie przez łamy dzienników politycznych przemknie się wiadomość o whigach i torysach, ale dzisiaj są to nazwy, należące do archiwum dziejowego. Porównywano niegdyś tę maszyneryę Anglii do ciała, trzymanego w równowadze przez dwa mniej więcej jednakiej siły stronnictwa, równą ilością reprezentowane w obu Izbach. Ale równowaga ta, whigowie i torysi, wszystko zniknęło w otchłani czasu tak samo, jak ulotniły się peruki i krynoliny. Resztki, pozostałe z dawnego obozu whigów, weszły do torysów i wśród zachowawców stanowią dzisiaj żywioł, może najbardziej wrogi dążnościom nowoczesnej demokracyi; partya zaś gladstonowska nie ma nic wspólnego z whigami — zrzuca z siebie coraz bardziej wszelkie tradycye ekonomicznego manczesteryzmu i nadto składa się z pierwiastków, dla których skutkiem ścieśnionego prawa wyborczego nie było ongi miejsca w parlamencie. Zachowawcy, zarówno odcienia ziemiańskiego, jak i wielkoprzemysłowego, tj. dawni torysi i whigowie, połączeni w polityczną całość, wypełniają niemal wyłącznie Izbę lordów, która w ten sposób, jak świeżo wyraził się lord Roseberry, stała się poprostu centralnym komitetem zachowawczym, podczas gdy nowe żywioły znalazły miejsce w Izbie gmin i zgromadziły się około Gladstone'a. Przemysł i handel potykały się dawniej z sobą w obu ciałach, dzisiaj jedno stronnictwo usadowiło się w jednem z nich, drugie — w drugiem. Wobec tego Izba lordów przestała odgrywać dawną rolę hamulca, zwalniającego tempo reform, i stala się zgromadzeniem nawskróś wstecznem. Właśnie w tem tkwi jądro nienawiści przeciwko lordom. A dodajmy do tego, że Izba wyższa jest rodową organizacyą jedynie w pojęciu żółtodzióbków zagranicznych. W Anglii utraciła ten nawet urok w oczach ogółu. Ostatnie dziesięciolecia wyrabiały lordów na wielką skalę, jak fabryki — gipsowych bohaterów. Wszelkiego rodzaju dorobkiewicze: prawnicy, bankierzy, wielcy gorzelnicy, siedzą tam licznym zastępem, zwłaszcza ostatni są tak obfici, że złośliwe języki na wyspie twierdzą, że *peerage* i *beerage* stały się synonimami. Zresztą w walce z lordami nie chodzi obecnie o usunięcie ich. Anglia nie lubi przewrotów, chętniej poprzestaje na przybudowaniu nowego przysionka do starego gmachu. Harcourt i inni marzą o tem, aby ponad lordami utworzyć jeszcze wyższą instancyę, do której Izba niższa odwoływałaby się w razie zatargu z wyższą — *referendum.*

Ż.

UMOWA RUSKO-NIEMIECKA.

III.

Rząd niemiecki, podczas swoich zabiegów o zyskanie w parlamencie sankcyi dla podpisanej umowy, znajdował dla siebie nader silne poparcie ze strony kół handlowych. Ze wszystkich zakątków Rzeszy niemieckiej wysłano odpowiednie adresy. Izby handlowe, korporacye przemysłowe, słowem, kto tylko mógł głos zabrać w tej sprawie, spieszył z wypowiedzeniem swoich sympatyj dla zamiarów rządowych. A kiedy zawarty traktat przebył w sejmie ogólno-niemieckim ogień drugiego czytania i wyszedł z niego zwycięzko, naówczas radość warstw handlowo - przemysłowych, szczególniej we wschodnich dzielnicach państwa pruskiego, była bezmierną. Zwłaszcza miasta, znajdujące się w pobliżu granicy, jak Królewiec, Gdańsk i inne, hałaśliwie objawiły swoje zadowolenie, ozdobiły bowiem swoje mury flagami. Nie dziw zresztą, zawarta bowiem umowa zrywa z dotychczasową polityką w Rosyi, dążącą do odjęcia portom baltyckim dawnego znaczenia i skierowania transportów zboża do morza Czarnego; co więcej, ustępstwa posunęły się jeszcze dalej, gdyż według traktatu, taryfy kolejowe ruskie mają uledz zmianie, która w najwyższym stopniu oddziała korzystnie na interesy obywateli pogranicznych miast pruskich. Wprawdzie tu i owdzie daje się słyszeć w Niemczech skarga, że ustępstwa te nie są dostatecznemi, górującym wszakże tonem jest radość. Radość ta wystąpi jeszcze w wyraźniejszem świetle, jeżeli sięgniemy pamięcią w przeszłość handlowych stosunków pomiędzy Rosyą a Niemcami, o której podczas rozpraw w parlamencie nieco wspomniał v. Marschall. Pięciomarkowe cło od zboża, wprowadzone przez Niemcy, było, według niego, odwetem za podniesioną przez Rosyę opłatę celną od żelaza i węgla kamiennego. Odtąd wywóz niemiecki do Rosyi maleje bardzo silnie. W r. 1880 wynosił on 215 milionów marek rocznie, tymczasem w r. 1887 spadł na 124. Później z podniesieniem się kursu rubla wzrósł nieco, w r. 1891 bowiem dosięgnął 145, ale w następnym już spadł do 129 mil. marek. Obecnie przemysł niemiecki odzyskuje owe rynki, tak dla niego pożądane, a przytem w dogodniejszych dla handlu warunkach, bo umowa powołuje do życia zwiększoną liczbę komór pogranicznych pierwszego stopnia i przedewszystkiem znacznie upraszcza formalności celne. Na pierwszym planie stoi węgiel, gdyż zniżka celna dochodzi do 50% dawnej taryfy, tj. kopiejkę zamiast dawnych dwu za pud. Wprawdzie ucierpią na tem kopalnie dąbrowieckie, ale natomiast cały ogół naszych spożywców skorzysta sowicie z tej zwiększonej konkurencyi pomiędzy dostarczycielami materyału opałowego — węgiel zagraniczny złamie nadmierny wyzysk ogółu spożywczego przez spółki akcyjne, władające kopalniami. Dalej idzie zniżenie opłaty celnej za żelazo, zresztą bardzo nieznaczne, bo w najgłówniejszej swojej rubryce wynoszące $\frac{1}{6}$ dawnego poziomu. Obniżka obejmuje w różnej mierze najrozmaitsze produkty z żelaza. Z ustępstw, które może najsilniej dadzą się uczuć przemysłowi ruskiemu, zaznaczyć należy obniżkę cła od chmielu; kiedy dawniej pud tego produktu opłacał przy wejściu w granice państwa ruskiego 10 rubli daniny celnej, tymczasem na przyszłość będzie uiszczał jedynie 3,5 Warto też podkreślić ulgi, jakie otrzymał dowóz z zagranicy wełny czesanej, przędzonej i farbowanej.

Ażeby ocenić wielkość tych ustępstw, zrobionych ze strony Rosyi na rzecz przemysłu niemieckiego, trzeba wziąć pod uwagę wahania kursu rublowego. Im bowiem (przy innych warunkach bez zmiany) kurs rubla stoi gorzej, tem opłata celna działa szkodliwiej na dowóz i przyczy-

3)

JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

III.

Jakież to marne!

Doprowadzić ją do tego, żeby się czuła poniżoną, prosząc o pieniądze, które jej są potrzebne! Pokazuje się, że nie trzeba być bydlęciem, ani t. z. tyranem, żeby deptać po cudzej duszy — dość jest być inteligentnym samcem i posiadać nerwy. Jakiś jasny czy może wprost bezczelny chłód przesuwa mi w mózgu te refleksye powszednie, jak paciorki codziennego różańca. O, znam i to —ten niby bezlitośny sąd nad sobą, polegający na dobieraniu w myśli energicznych epitetów. Znam to. Ostatecznie jest to tylko cynizm, który w danym np. razie odwraca uwagę od właściwego przedmiotu. Że to jest brutalne, marne, nędzne — to wiem. Ale jak się tego ustrzedz, co zrobić, żeby się podobne sceny nie powtarzały?

W przeszłym tygodniu zrobiłem jej awanturę o późne siedzenie nad jakąś książką — i także nie miałem racyi, bo książka była pilna. Ostatecznie, nawet chyba kobieta ma prawo przesiedzieć parę godzin nad czemś, co ją zajmie. Kiedyś znowu miała scenę za mieszkanie... Rzeczywiście, że to był zły pomysł oszczędzać na jednym pokoju: po prostu za często teraz plączemy się sobie pod nogami. Mieszkanie stanowczo musimy wziąć większe.

Ta decyzya niespodziewanie powzięta w toku refleksyi przepełnia się poczuciem pewnej stanowczości i budzi z niepamięci, w której przebiegłem aż do Łazienek. Czuję w sobie teraz trzeźwość ludzi jasno patrzących na rzeczy i pogrążam się w rachunki. Jednak teraz to niedługo...

Powoli gromadzą się znowu jakieś drobne ukłucia nerwowe — przedewszystkiem zaczyna mię nękać opłakany widok alei, pokopanych do kanalizacyi, drzew gołych po obu stronach drogi i żółtych liści przyplusniętych błotem tu i tam do asfaltu. Z nieprzyjaźnią rozmijam się z jegomościami odbywającymi poobiednią przechadzkę dla trawienia, z boną prowadzącą parkę po szkocku ubranych dzieci.

— Wszystko to jest farsa — mówię z żółcią — wcale tu nie o pieniądze chodzi. Co np. mają pieniądze do tego, żem wtedy to jadło ze złości cisnął przez okno? Po prostu jest to znerwowanie obustronne. Znerwowanie obustronne albo i nie: dla czegoż ja z dziećmi nigdy głupstw nie robię? Przecież Jadzię także często nazywam „trzeciem dzieckiem“? Nie o pieniądze chodzi: z matką np., z przyjacielem rzeczy stały by w każdym razie inaczej. To trudno.

Z Jadzią jeszcze chyba żadne nieporozumienie nie skończyło się inaczej, jak na pocałunkach. Ileż razy łapałem siebie na tem, że kiedy ona mi coś mówi poważnie, ja patrzę na jej na oczy czy usta! Zresztą i oto były sceny.

I przypomina mi się znowu jeden z epizodów, kiedy jeszcze przed Maryjką, pogniewaliśmy się z nią o jakąś przyjaciółkę. której ja nie lubiłem. Pamiętam, jak mi później Jadzia dowodziła z zapałem o moralnej wartości tej pani, jak jej zamknąłem usta pocałunkiem i jak mi się wówczas wyrwała z płaczem i oburzeniem.

— Ty mnie zawsze traktujesz albo jak dziecko, albo jak... kochankę... To trudno.

* * *

W cukierni panuje jeszcze poobiednia nuda. Polityce nie poschodzili się, sala bilardowa pusta. Resztki dziennego światła tułają się po kątach, przez szyby widać kawał oficyalnego blado-błękitnego nieba, które chmury odsłoniły na odwieczerzu. Jestem zmęczony przechadzką i piję już drugą szklankę kawy czarnej. Dogadza mi w tej chwili stan pół-umyślnego roztargnienia — co ja tam będę robił tragedye z rzeczy zwykłych!

nia się do zmniejszenia jego rozmiarów. W ten sposób Rosya jak gdyby, bezpośrednio do wahań w kursie rubla, posiadała ruchomą taryfę celną. Gdyby pragnęła utrzymać wpływy z protekcyonizmu na tej samej skali, musiałaby podwyższać cła równolegle z podwyższaniem się kursu rubla — i odwrotnie. Właśnie zwyżka tego kursu w r. 1890 była powodem ówczesnego podniesienia taryfy o 20%. A jeżeli teraz uprzytomnimy sobie, że w r. 1890 kurs rubla wynosił 265 marek (za 100 rubli), wówczas kiedy dzisiaj waha się około 219, to zrozumiemy, że obecne ulgi nie zawsze znoszą w zupełności tę podwyżkę, jakiej taryfa celna uległa przed paru laty. Rosya obniża obecnie w półtorasta niemal rubrykach opłatę celną, ale napewno niezbyt znaczną będzie liczba tych przedmiotów, w których faktycznie i nawet nominalnie na przyszłość obowiązująca taryfa byłaby nieco niższą od ówczesnej, kiedy z powodu podniesienia się kursu rubla rząd podniósł o 20% opiekę protekcyjną. A wszak już wtedy przemysł ruski znajdował w taryfie celnej dostateczną ochronę! Nie ulega zatem najmniejszej wątpliwości, że dzisiejsze ustępstwa nie mogą w żaden sposób odbić się zbyt ujemnie na rozwoju przemysłu ruskiego. Naturalnie, wywrą one swoje skutki. Zyski przemysłowców skurczą się nieco, fabryki zostaną zmuszone do ulepszeń technicznych i wogóle do porzucenia rutyny, jakiej zanadto skore są hołdować pod ochroną ceł protekcyjnych.

Chmiel np., który w ostatnich czasach wyrobił sobie tak znaczny zbyt na tutejszych rynkach, jeżeli chce je dalej utrzymać, musi pomyśleć o lepszych metodach suszenia. Słowem, niebezpieczeństwo ze strony umowy zagraża nie samemu przemysłowi, ale dochodom przemysłowców. Zresztą winniśmy nadmienić, że przemysł niemiecki pokłada olbrzymie nadzieje zysków, jakie odniesie z zawarcia dziesięcioletniej umowy. Ze wszystkich stron dochodzą nas wieści o krzątaniu się przemysłowców niemieckich w tym kierunku. Ktoś, posiadający dom komisowy, opowiadał nam, że zawalony jest propozycyami, pochodzącemi od firm niemieckich, przyczem nie mógł się wydziwić znajomości, jaką okazują tamtejsi producenci i pośrednicy. Tak dobrze znają oni rynki miejscowe i warunki zbytu, że opowiadający był wprost w rozpaczy. Niemiec nie da mu zarobić zbytecznego szeląga! Świeżo też słyszeliśmy o innym fakcie. Do jednej z gazet nadesłano zapytanie o warunkach ogłoszenia. Administracya zrobiła obrachunek, odtrąciwszy 25% rabatu w porównaniu ze zwykle pobieraną ceną, a uczyniwszy to, była poniekąd przerażona wysokością sumy, jaką należałoby zażądać. Wypadało bowiem około 500 rubli, a zatem więcej, niż któremu kolwiek pismu dają zarobić nasze towarzystwa kolejowe. Tymczasem sądząc z listu, była to jakaś firma podrzędniejsza.

A zatem nie wolno ani chwili powątpiewać, że zostaniemy zalani potokiem towarów niemieckich najrozmaitszego rodzaju. Że nie uśmiecha się to naszym fabrykantom — rzecz pewna. Ale kto żyje z zarobku, jest prostym spożywcą, który dotychczas musiał składać obfity haracz na ołtarzu interesów przemysłowych, tę powódź może powitać z radością — przyniesie mu ona tańszy towar i zmusi miejscowych przemysłowców do obniżenia swoich wymagań.

W.

BADANIA NAUKOWE.

POGLĄDY FILOZOFICZNO-BIOLOGICZNE AUGUSTA WEISMANNA.

(Dokończenie).

Wyobraźmy sobie jajeczko zapłodnione, z którego ma się rozwinąć przyszły osobnik potomny. Otóż w jajeczku tem, które oddzielone od ustroju rodziców, może wytworzyć nowe indywiduum, podobne do rodzicielskiego, zawarte są naturalnie *zawiązki wszystkich dziedzicznych znamion potomka*; te ostatnie zaś są nadzwyczajnie różnorodne; organizm bowiem stanowi machinę niesłychanie skomplikowaną, posiada najrozmaitsze części ciała, organy, tkanki, złożony jest z miliardów komórek, w różnorodny sposób z sobą połączonych. Zawiązki wszystkich tych części mieścić się muszą w komórce jajowej. Jak wiadomo, rozwój odbywa się w ten sposób, iż jajo dzieli się na komórki potomne, które ze swej strony znów się dzielą i tym sposobem powstaje coraz większa ilość komóreczek, z których buduje się ciało zarodka. Otóż z początku komórki, pochodzące z podziału jajowej, nie są jeszcze wyróżnione, ale w miarę jak przybywa ich coraz większa ilość, występują pomiędzy niemi coraz większe różnice, tak że powstają *różnorodne grupy* komórek. Tak np. pośród pierwotnych jednorodnych komórek wyróżniają się jedne, które zowiemy komórkami ektodermy i drugie, które nazywami komórkami entodermy. Pośród elementów ektodermy wyróżniają się w dalszym ciągu komórki naskórka, nerwowe, zmysłowe itd. Z pośród naskórkowych — jedne, dające właściwy naskórek, inne — przeobrażające się na włosy i paznokcie itd. W miarę jak odbywa się to wyróżnianie, komórki każdej grupy zawierają już tylko zawiązki pewnych poszczególnych własności i dzieląc się, produkować mogą elementy potomne już tylko z ograniczoną sumą cech. Tak np. w komórkach ektodermy znajdują się jeszcze bardzo różnorodne zawiązki, a mianowicie dla znamion cechujących naskórek, dla znamion właściwych komórkom nerwowym oraz zmysłowym itd.; ale z kolei pewne grupy otrzymują już tylko jednego rodzaju zawiązki, inne — drugiego itd., wskutek czego właśnie następuje coraz większe różnicowanie się, czyli differencyacya, przyczem komórki naskórka, dzieląc się, produkować mogą tylko już podobne do nich elementy naskórka, komórki nerwowe wytwarzają już tylko inne nerwowe itd.

Żadna z tych zróżnicowanych komórek ustroju nie może wytworzyć nowego indywiduum zwierzęcego, które jako takie zawierałoby znów komórki nerwowe, zmysłowe, naskórkowe, mięśniowe, kostne itd., nie może już przez to samo, że sama jest zanadto specyalizowana. Element nerwowy może dać początek tylko podobnemu sobie nerwowemu, zarówno jak i komórka mięśniowa wytwarza tylko mięśniowe elementy potomne, bo plazma komórek jest już bardzo specyalizowana. Tylko jednego rodzaju elementy w organizmie zachowują jednak zdolność do wytwarzania nowego indywiduum zwierzęcego, a mianowicie: rozrodcze, które zawierają t. zw. plazmę zarodkową, tj. posiadającą zawiązki wszystkich cech ustroju, plazmę niewyróżnioną i niespecyalizowaną.

Z miasta dolatują dźwięki dzwonków tramwajowych i turkot dorożek; za chwilę po obu stronach Marszałkowskiej błyśnie podwójny szereg latarni. Bezwiednie prawie ruszam ku oknu i oddaję się jałowym obserwacyom. Domy powlekają się coraz bardziej monotonną, szarą barwą — która robi na mnie zawsze wrażenie pustki i samotności. Pierwsze światło zapalono w sklepie narożnym — dość ciekawy widok. Przedewszystkiem okno to robiło wrażenie nie światła, ale jakiejś oranżowego odcienia żółtej barwy; później — w miarę jak ciemniało dokoła, oranżowa barwa stawała się żółtszą i nabierała przezroczystości — okno wyglądało jak słabo oświetlone przezrocze. Teraz widać już blask padający z głębi i kontury wystawionych przedmiotów odcinają się wypukło...

Latarnie już płoną — od ulicy rośnie hałas dzwonków i dorożek; nastąpił już ów charakterystyczny przełom dnia przed wieczorem — zaczyna się życie ruchliwsze, gorączkowe, wieczorne.

Pędzą jacyś panowie w cylindrach, panie śpieszą do domu z pakunkami. Ogarnia mię jakby zazdrość na widok tych ludzi śpieszących gdzieś, do czegoś. Sam czuję się podnieconym i radbym pójść — dokąd? Zazdroszczę panu w cylindrze, który wpada z niezmiernym pośpiechem do fryzyera — zazdroszczę im tej poobiedniej krętaniny. Dokąd by pójść?

Drzwi do cukierni otwierają się teraz bezustannie i stół pod lampami jest już prawie cały udrapowany w łysiny, czupryny i płachty świeżej bibuły gazeciarskiej. Z trudnością dostaję „Kuryera“ i na chwilę zagłuszam pytanie dokąd pójść? Czyjaś ręka dotyka mego ramienia.

— Jak się macie! — cóż to nie poznajecie ludzi na ulicy?

A — to kolega — pedagog. Na szczęście nie czeka odpowiedzi i zagaduje dalej.

— Cóż u was słychać? — u mnie panie po staremu — bryndza.

Kolega ma pełno swoich lokucyi w rodzaju „bryndzy,“ któremi szafuje obficie. Jest zaś z tego względu przyjemny, że zadając pytanie, nigdy nie rachuje na odpowiedź. Przez chwilę czytamy w milczeniu.

— Ale, ale — woła kolega — mam tu was zaprosić na jedną sesyę.

Tu zniża głos i zaczyna wyłuszczać jakiś „punkt,“ co do którego „pewna grupa ludzi chce się porozumieć.“ Znam ten punkt i ową grupę, nie mam wielkiej ochoty do sesyi, ale kolega już z góry osądził, że zaproszenie przyjmę. Zresztą — dla czego nie?

— Kiedyż sesya owa?

— W piątek o ósmej u mnie.

— Szkoda, że nie dziś.

— Co? chcielibyście może o tem pierwej pogadać ze mną? doskonała myśl: chodźcie, uważacie, teraz zaraz na Żórawią — to się umówimy z nimi, czego się trzymać.

Na razie przystaję na tę propozycyę, tem bardziej, że kolega już wstaje i płaci za mnie i za siebie.

— Ale dajcież spokój — już za siebie zapłaciłem.

Przy wyjściu zostaję schwytanym pod ramię i, niejako przytroczony do kolegi, poddaję się jego obfitej wymowie.

— Czego ja właściwie tam idę? Po pierwsze, kwestya sama nie jest tak bardzo znów ciekawa, a powtóre będzie dość czasu na sesyi.

Na rogu Żórawiej z mocą wysuwam się z objęć kolegi.

— Nie, przepraszam was, ale przypomniałem, że dziś mam inne zajęcie — nie mogę.

Kolega się dziwi, później żałuje — wreszcie zgadza się, pod warunkiem, że nie zapomnę o sesyi.

— Pamiętajcie — piątek, ósma!

Wytrząsa mię za rękę i wyrzuca z siebie ulubioną lokucyę.

— Sursum corda!

Czego się ten wścieka z uciechy?

Muszę teraz iść ku domowi, ale w drodze rozmyślam, czy nie mam czego do załatwienia na mieście? Może by do kogo wstąpić? Domy rodzinne nie nęcą. Na chwi-

Ale skądże się biorą w ustroju te komórki rozrodcze, zdolne do reprodukowania nowego organizmu, a raczej skąd się bierze t. zw. plazma zarodkowa, mieszcząca się w tych komórkach (plazma zarodkowa stanowi prawdopodobnie pewne części jąder w komórkach rozrodczych)?

Otóż komórka specyalizowana, np. nerwowa lub mięśniowa, nie może już wytworzyć napowrót plazmy zarodkowej, tj. niezróżnicowanej i zawierającej zawiązki wszystkich znamion ustroju. Weismann twierdzi tedy, że plazma zarodkowa każdego pokolenia pochodzi *bezpośrednio* od tejże plazmy pokolenia poprzedzającego. Innemi słowy, przypuśćmy, że z jaja zaczyna się rozwijać osobnik pokolenia. Otóż zanim plazma zarodkowa tego jaja zacznie się różnicować, tj. rozpadać na coraz bardziej specyalizowane, oddziela się od niej część niezmieniona, zachowująca się w tym pierwotnym stanie w komórkach rozrodczych i mająca przeto zdolność, jako niezróżnicowana, do wytworzenia osobnika nowego pokolenia B; plazma jajowa tego ostatniego, zanim zacznie się ze swej strony specyalizować na grupy, zawierające zawiązki poszczególne, oddziela część plazmy zarodkowej dla pokolenia C — itd. W ten sposób istnieje nieprzerwana ciągłość i nieśmiertelność plazmy zarodkowej, podobnie jak ciągłość życia u najniższych pierwotniaków. Oto zasada Weismanna t. zw. „ciągłość plazmy zarodkowej“ (Continuität des Keimplasma).

Plazma zarodkowa, przenosząca się w stanie niezróżnicowanym z pokolenia na pokolenie, zachowuje wieczną żywotność, podczas gdy oddzielająca się od niej w każdem pokoleniu część plazmy, która różnicuje się i wytwarza ciało osobnika, zachowuje tylko przez ograniczony czas żywotność i podlega nareszcie śmierci. Bardzo łatwo zrozumieć, dlaczego komórki cielesne, specyalizowane, nie mogą wiecznie się rozmnażać. Komórka płciowa, zawierająca plazmę zarodkową niezmienioną, nie jest do żadnego szczególnego celu przystosowana, nie jest w żadnym swoistym kierunku zmodyfikowana i dlatego zachowuje zdolności do ustawicznego dzielenia się, do wytwarzania nowych wciąż pokoleń komórek, z których ma się budować ustrój osobnika potomnego. Co innego atoli zachodzi w komórkach cielesnych. Dopóki organizm jest młody, wszystkie te komórki: nerwowe, mięśniowe, tkankołączne, błonkowe itd. zachowują jeszcze zdolność do produkowania potomnych; przybywają przeto coraz to nowe pokolenia tych komórek i organizm rośnie, powiększa się. Ale ta zdolność wyczerpuje się nareszcie; komórki mięśniowe lub nerwowe itd., których plazma jest w wysokim stopniu specyalizowana (w mięśniowej np. zróżnicowana na delikatne włókienka kurczliwe, do pewnych swoistych czynności przystosowane) — tracą wskutek tego pewne ogólne własności, przedewszystkiem zdolność do nieograniczonego dzielenia się i wytwarzania nieskończonej ilości pokoleń.

Powiedzieliśmy, że w każdej generacyi oddziela się od jaja część niezmienionej plazmy zarodkowej dla wytworzenia pokolenia następnego. Innemi słowy, od chwili gdy dany zarodek zaczyna się rozwijać, jest już w nim zawarta (w jego komórkach rozrodczych) plazma zarodkowa, mająca dać początek nowemu z kolei osobnikowi. Z tego zaś wynika, że wpływy zewnętrzne, modyfikujące ciało (soma) organizmu, działające na jego komórki somatyczne (nerwowe, mięśniowe itd.), pozostają bez wpływu na znamiona przyszłego pokolenia, co nie miałoby miejsca naturalnie wtedy, gdyby plazma zarodkowa rozwijała się z komórek cielesnych. Darwin wyobrażał sobie (hipoteza pangenezy), że z każdej komórki ciała odrywają się cząstki (t. zw. gemmules), które wchodzą do krwi i stąd dostają się do organów rozrodczych, gdzie się z nich tworzą komórki płciowe (jajeczka i ciałka nasienne); wobec takiego poglądu byłoby rzeczą naturalną, że wszelkie wpływy, zmieniające komórki cielesne, działałyby też modyfikująco na naturę płciowych, zawierających plazmę zarodkową, tj. tę, w której mieszczą się zawiązki wszystkich cech dziedzicznych przyszłego pokolenia, że tedy wpływy modyfikujące ciało (soma) odziedziczałyby się przez potomstwo. Przyjmując zaś z Weismannem, że plazma zarodkowa znajduje się już od samego początku w zarodku i że rozwija się dopiero później z tkanek, musimy przypuścić, że wyżej wzmiankowane wpływy, modyfikujące ciało organizmu, nie stają się dziedzicznemi, tj. nie bywają przekazywane potomstwu. Tym sposobem dochodzimy do niezmiernie ważnego zagadnienia biologicznego, a mianowicie: czy i o ile cechy *nabywane* przez ustrój w ciągu życia indywidualnego przenoszą się na potomstwo, tj. odziedziczają się? Weismann przeprowadza ścisłą różnicę pomiędzy znamionami *nabytemi* a *wrodzonemi*. Weźmy przykład konkretny — np. rozwój siły mięśniowej. Jeżeli ojciec albo matka odznaczają się *od urodzenia* atletyczną siłą, potężnym rozwojem mięśni, to cecha ta, jako wrodzona, może się przenieść na potomstwo, tj. dzieci odziedziczą po nich tę właściwość, albowiem zawiązek potężnych mięśni mieścił się oczywiście już na plazmie zarodkowej rodziców. Jeśli zaś ci ostatni mają od urodzenia słabo rozwiniętą muskulaturę, lecz dopiero przez gimnastykę np. otrzymują mięśnie silniejsze, to ten większy rozwój muskulatury nie przeniesie się na potomków; ci ostatni urodzą się również z muskulaturą słabą, albowiem w plazmie zarodkowej dzieci, bezpośrednio oddzielonej od tejże plazmy rodziców, znajdowały się dziedziczne zawiązki słabej muskulatury. Tym sposobem Weismann dochodzi do wniosku, że po największej części własności nabywane przez rodziców nie odziedziczają się. Liczne fakty stwierdzają ten wniosek. Skaleczenia i rany, otrzymane przez rodziców podczas ich życia, nie przekazują się dzieciom. Liczne ludy od wieków wybijają sobie pewne zęby, a jednak dzieci rodzą się wciąż z niemi; obrzezanie praktykowane od tysięcy lat u żydów i mahometan nie wpłynęło na zanik, ani nawet na zmniejszenie się napletka. Znaki od ospy, jakkolwiek zależne od głębokich zmian organicznych, nie odziedziczają się itd. Niekiedy pozornie się wydaje, że mamy wypadek odziedziczenia cechy nabytej, a mianowicie w razie przeniesienia się zarazka chorobotwórczego z rodziców na dzieci. Wyobraźmy sobie np., że osobnik, mający od urodzenia zdrowe płuca, nie posiadający zatem dziedzicznej predyspozycyi do suchot, zaraża się przypadkowo i dostaje tuberkulozy płuc; w tym więc wypadku mamy przed sobą chorobę nabytą. Ale tenże osobnik może zrodzić potomka z dziedziczną pozornie skłonnością do suchot. W tym razie atoli w rzeczywistości nie zachodzi odziedziczenie tendencyi od choroby, lecz przeniesienie się zarazka z ojca na dziecko; osobnik, którego organizm zarażony jest lasecznikami tuberkulicznymi, może za pośrednictwem komórek rozrodczych przenieść zarazki na potomka. Oczywista atoli, że w tym razie nie może być mowy o odziedziczeniu nabytej choroby,

---

lę decyduję się pójść do dwóch starych kawalerów — malarza i literata, mieszkających razem. Ale w porę przypominam sobie ich nieodzowne serdelki, kajzerki i herbatę, cygara i złośliwe znęcanie się malarza nad świeżo otrzymanym „Kuryerem,“ prócz którego zresztą nic nie czytuje. Co mi po nich?

Po raz drugi już mijam swoją ulicę — i nagle jak halucynacya staje mi przed oczyma Jadzia z Maryjką na kolanach i Antek, opowiadający o panoramie. Jest po siódmej — zaraz będą pili herbatę — zrobię im niespodziankę. Zdaje się, że ta myśl od początku rozmyślań o tem, dokąd pójść, tkwiła w głowie — tylko nie mogłem jej napotkać w chaosie niepotrzebnych refleksyi. Doznaję jednak małego niepokoju zbliżając się po raz trzeci do swego zakrętu. I zbaczam raz jeszcze, ale po to żeby wstąpić do handlu.

W handlu tłok kupujących, więc mam czas namyślić się co właściwie chcę kupić. Trzeba kupić wina dla Jadzi — biedactwo jest mizerne trochę, a doktór zalecił wino raz na zawsze. Żuczkowi i Antkowi kupię winogron. W końcu przypominam sobie, że nie będą może mieli nic do herbaty i kupuję szynkę w pęcherzu.

Teraz znowu czuję całodzienne zmęczenie — jest to jednak uczucie całkiem odmienne od poprzedniego — jest to zmęczenie wieczorne, połączone z pewnem podnieceniem. Czuję również dobrotliwość ojca rodziny, wracającego do domu; pakunki niosę troskliwie i nie bez przyjemności stukam laską przed sobą.

— Biedny mój Jadzik...

IV.

Dzieci posnęły już oddawna. Jadzia przynosi mi do biurka trzecią filiżankę herbaty i znowu dolewa wina, sama wraca do pokoju dziecinnego, gdzie przy zielonej lampie studyuje „Naukę o rzeczach.“ Jest to przygotowanie do jutrzejszej pierwszej lekcyi.

Widzę ją trochę z ukosa przez drzwi pochyloną w jasnym kręgu światła. Dziwna rzecz, jak ta kobieta nie wygląda na swoje 28 lat — zwłaszcza w tej halce, która robi wrażenie panieńskiej sukienki... Jadzia podnosi oczy i spotyka się z mojemi: oczy ma smutne i twarzyczkę jeszcze bladą. Pochylamy się każde nad swoją książką. A kiedy znowu posyłam ukradkowe spojrzenie w jej stronę, Jadzi już niema przy lampie. Pewnie siedzi w fotelu przy Maryjce.

Nie jestem dziś w usposobieniu do czytania. Zapalam papierosa i chodzę po pokoju tak, że z przeciwległego kąta znowu widzę Jadzię na ukos. Siedzi w półcieniu — tylko oczy utkwione w lampie błyszczą zadumą.

Przecież niby już było między nami dobrze? Ręczę, że jeszcze się truje czemś, mimo że ją serdecznie przeprosiłem. Ona bo zawsze bierze rzeczy z tonu zbyt dramatycznego i zapuszcza się w ponure refleksye. Nie bardzo jestem rad temu w chwili obecnej; wolałbym tak sobie z nią porozmawiać.

— Jadzik — chodź do mnie!

Przychodzi, ale staje przy drzwiach.

— Chodźże bliżej... Gniewasz się jeszcze?

Jadzia kiwa głową po dziecinnemu, usta i ręce ma jak z lodu.

— Zdaje się, że któreś nie śpi? — mówi Jadzia, odwracając głowę.

— Nie wykręcaj się, Jadzik, bo wiesz, że śpią.

Nie odpowiada nic, tylko ręka jej zaczyna trochę drżeć w mojej i głowa się pochyla.

— Nie pocałujesz mnie?

Całuje w czoło chłodnemi ustami. Gdyby chociaż wyraźniej mówiła, co jej dolega — możebym umiał ją lepiej pocieszyć.

— Opowiadaj, Jadziu, jeszcze, coś dziś robiła?

Jadzia opowiada bez przekonania, że się umówiła z Zosią pójść po okrycie, ale ponieważ ja wyszedłem, więc Zosia została przy Maryjce, a ona chodziła sama.

— Włóż okrycie — zobaczę, czy ci do twarzy.

w ścisłem znaczeniu tego wyrazu; następuje tu tylko zarażenie się zarodka od ojca.

Gdy dotąd twierdzono powszechnie, że odziedziczanie nabywanych znamion jest faktem, nieulegającym prawie żadnej wątpliwości, Weismann wykazał, że nie mamy dotąd w literaturze naukowej pewnych dowodów, iż odziedziczanie takie istnieje, a prócz tego wyjaśnił tę nadzwyczajną trudność przenoszenia się cech nabywanych na podstawie wyżej wyłożonej teoryi ciągłości plazmy zarodkowej.

Wszelako błędnem byłoby twierdzenie, iż znamiona nabyte przez rodziców w życiu indywidualnem, nigdy nie mogą przejść w spadku na potomków. Weismann też w ostatniem swem dziele (1893) dochodzi do wniosku, że może to nastąpić, ale tylko wówczas, gdy dane wpływy zewnętrzne działają na ustroje przez bardzo długi szereg pokoleń i gdy są tak głębokie, że powodują pewne zmiany w samej plazmie zarodkowej; do takich wpływów zalicza on np. klimatyczne.

Skoro tedy większa część warunków zewnętrznych, zmieniających ustrój rodzicielski i powodujących nabywanie różnorodnych znamion indywidualnych, pozostaje bez wpływu na plazmę zarodkową, skądże pochodzą tak częste i tak powszechne zboczenia, jakie dostrzegamy w rodzącem się potomstwie? Otóż jedną z najgłówniejszych przyczyn pojawiania się zboczeń dziedzicznych upatruje Weismann w płciowem rozmnażaniu się istot. Zapłodnienie polega, jak wykazano w nowszych czasach, na mieszaniu się plazm zarodkowych (tj. pewnych składowych części jąder) dwóch komórek płciowych: żeńskiej i męzkiej. Plazma zarodkowa zawiera, jak wiemy, zawiązki wszystkich cech, jakie dziecko ma odziedziczyć po rodzicu; gdy więc przez zapłodnienie mieszają się dwie plazmy zarodkowa (ojcowska i macierzysta), czyli dwie różne „tendencye dziedziczne,“ jak mówi Weismann, przeto znamiona potomka muszą być średnią wypadkową dziedzicznych cech ojca i matki. Rodzice różnią się pomiędzy sobą nietylko ze względu na znamiona przywiązane do ich płci, lecz i tysiącznymi innymi szczegółami: kolorem włosów, oczów, skóry, wzrostem, skłonnościami do chorób, zdolnościami, ogólną konstytucyą itd. itd. Przy jednopłciowem rozmnażaniu się każde z rodziców przekazywałoby potomkom całą sumę swych znamion dziedzicznych i dzieci byłyby zupełnie podobne do rodzica; wskutek zaś rozmnażania się dwupłciowego, dziedziczne zawiązki dwu „różnych tendencyj“ mieszają się i kombinują, a dzieci różnią się przeto nieco od każdego rodzica zosobna, czyli zbaczają od typu każdego z nich. Oto, zdaniem Weismanna, główna przyczyna zjawiania się indywidualnych zboczeń dziedzicznych u osobników zwierzęcych lub roślinnych.

Działanie doboru naturalnego sprowadza się, według niego, do tego, iż zachowuje on osobniki, opatrzone pewnemi dziedzicznemi zboczeniami pożytecznemi w walce o byt, usuwa zaś opatrzone niekorzystnemi.

Darwin zbudował swoją teoryę, wychodząc z faktu, iż zwierzęta otrzymują pewne zboczenia, któremi operuje dobór naturalny. Teorya Weismanna wykazuje przyczyny zjawiania się tych zboczeń i wyjaśnia biologiczną doniosłość płciowego rozmnażania się istot, jako środka wywołującego dziedziczne zboczenia indywidualne.

W ostatniem swem dziele o plazmie zarodkowej (1893) Weismann między innemi przedstawia w szczegółach hipotezę o jej budowie, o sposobach wyróżniania się i uzewnętrzniania znamion organizmu, ukrytych jako zawiązki w tej plazmie; ale szczegóły teoryi są wysoce spekulacyjne i przedstawiają przeto mniejszy interes naukowy.

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Alfons Daudet, *Entre les frises et la rampe* (Między fryzami i rampą). Paryż, 1894.

Ebnerowi.

Jak dobry kapitan na pokładzie winien mieć w przewidywaniu nieszczęścia i dla ułatwienia ratunku zapas łodzi, szalup, tak autor, który ogłasza dzieła swe w najrozmaitszych formatach (!), wydaje mi się najbardziej ubezpieczonym przeciw rozbiciu. Stąd idzie różnorodność moich wydań.

Jeśli też moje imię wypłynie na jednej z bark, i twoje przy niem wynurzy się. Bo już oto od dwudziestu czterech lat jesteśmy przyjaciołmi“ — itd.

Szumna ta dedykacya wypełnia pierwszą stronę książki Daudeta. Umieszczona we wstępie dzieła większego, uszłaby mimo kulawego obrazu, ale tu (dla objaśnienia kwestyi formatowej zaznaczmy, że książka ta jest małą szesnastką) razi napuszystością i nieustosunkowaniem do utworu. Dwieście stron marnie wyilustrowanych dają — „sztukę zostania artystą,“ bezwątpienia lepszą, ale pokrewną podręcznikowi niemieckiemu: „Die Kunst Dichter, Redner etc. zu werden.“

Spotykamy tu przeciętną filozofię mieszczańską z poczytywaniem autorstwa za rzemiosło i pływającemi, jak zwykle po dziełach Daudeta, ploteczkami. W rozprawce „Uscenizowanie i powtórzenia“ autor po przepisach i uwagach opowiada rzecz arcyzajmującą. Oto kilka lat temu, w pewnym teatrze, po pewnem powtórzeniu pewna artystka spostrzegła, że jej skradziono pugilares. Okazało się potem, że uczynił to niejaki Saturnin, a wytropiony został przez szefa maszynistów. Stąd morał: albo niechaj artyści wystrzegają się kradzenia pugilaresów, albo artystki niech przychodzą bez pieniędzy...

Nie wszystkie pigułki podaje autor bez opłatka. Niektóre zawija w nowele. Pewnej pani śni się, że ktoś przyszedł do niej i wyliczał szczegóły, na które pisarz powinien baczyć — „Sen pani Epinal.“ Trzy ostatnie części są sprawozdaniami literackiemi, przykrojonemi do motywu, „Komedya żałoby“ posiada formę katechizmową.

Rozdział początkowy: „Artysta pracuje.“ Dowiadujemy się, iż są artyści, którzy pracują, nie pracują i zbyt wiele pracują. W początkach są dobre chęci, później znikają. Jeden z przyjaciół Daudeta czytał dramat, aktor, któremu przypadła główna rola, uronił kilka łez, ale po wysłuchaniu spytał: Jak będę ubrany, szanowny panie? W kamaszach?

Nie godzi się tak pytać. Myśleć o oddaniu swej roli i powtarzać ją codzień. Jako czysty paryżanin (pochodzący z południowej Francyi), autor zaleca nie przeceniać artystów scen podrzędnych, gdyż niema nad paryską.

Jadzia wdziewa żakiet: jest jej ładnie, ale ładniej w kokieteryjnym białym kaftaniku. Zwłaszcza prześlicznie wygląda z profilu w ramie białej kryzy, z której wynurza się jej cudownie zarysowany karczek, zakończony węzłem płowych włosów.

— A ciepło ci w tem?

— Ciepło... ale nie mówiłam ci, ile kosztuje.

— No, ile?

— Zgadnij.

Śmieszne to kobiece „zgadnij.“

— Bo ja wiem — no, 15 rubli?

— Dziewięć! — mniej, niż moja miesięczna pensya.

„Mniej, niż *moja* pensya“ brzmi mi w uszach bardzo przykro — mimowoli całuję ją w ręce. Rozmawiamy chwilkę o zmianie mieszkania, potem Jadzia skierowuje rozmowę na swoją lekcyę i rozpytuje się o różne kwestye pedagogiczne.

Koło 10-ej przypomina sobie, że ma jeszcze napisać list do siostry. Nie chce mi się jej puszczać.

— Cóż ty dziś tak ładnie wyglądasz — taka jakaś zaklęta królewna?

Jadzia blado się uśmiecha i odwraca głowę do dziecinnego pokoju. Jak ja lubię ten jej karczek niezmiernie kobiecy — tę łagodną, białą linię, gubiącą się u góry w pysznym splocie włosów. Prawie bezwiednie całuję ją, w chwili, kiedy się odwróciła. Jadzia drga nieznacznie i wychodzi z pokoju.

Nie cierpię, kiedy pisze list. Zwłaszcza dziś mogła tego nie robić — zdaje mi się, że ta rozmowa z osobą nieobecną robi ją dla mnie na razie obojętną, nieczułą. Nikt bo nie umie tak cierpnąć i wchodzić w siebie. jak ona. Wiem, że jeszcze ma łzy w duszy — nawet nie te łatwe łzy kobiece, ale ból nieokreślony, bezprzedmiotowy, rodzący się w niej z nieskończonego szeregu drobnych, codziennych nędz, jak we mnie poranne katzenjamery. Śliczny mój Jadzik!..

Nagle Jadzia wstaje i spuszcza przy drzwiach portyerę.

— Kładź się, Józiu — jesteś zmęczony.

— Wcale mi się spać nie chce... A ty się prędko położysz?

— Jak list skończę.

— Taak?..

— Dobranoc ci.

Milcząc, całuję ją w rękę.

— Dobranoc...

* * *

Światło nocnej lampki przesiewa przez drobne pory tkaniny i razi mię nieznośnie. Nie mogę jakoś złapać snu. Źle mi leżeć i palę już drugiego papierosa. Próżno się odwracam — po chwili znowu podnoszę głowę: jeszcze się świeci... Co ona tam robi? Oj ten jej niepotrzebny tragizm! Wzdycham mimowoli, a może świadomie, za głośno i znowu podnoszę głowę: świeci się! Jednocześnie czuję nieokreśloną nadzieję i niecierpliwość. Co ona tam robi? Jeszcze się nie położyła, bo przed chwilą widziałem na cieniu krysę kaftanika. Raptem światło gaśnie, a ja machinalnie opieram się na łokciu i wytężam słuch. Cisza... Chcę szepnąć „Jadzik,“ ale coś mi nie pozwala.

A jednak jej ramiona szukają mnie w ciemności i gorąca, mokra od łez twarzyczka tuli się do mojej bez słowa... Samo tylko strwożone serce skarży się głośno, prawie z jękiem kołacząc w wezbranej piersi.

— Jadzik mój, Jadzik...

* * *

Która godzina?.. Późno już, bo nie mogę prawie podnieść ociężałych powiek. Przez rzęsy widzę znowu świetlną plamę na portyerze i czuję rano, że mi zimno. Przykro mi czegoś... Ale już nie wiem, że to dlatego, że Jadzia boso i w koszuli ziębnie przy Maryjce; nieprzytomnie zabieram sobie całą kołdrę i pogrążam się w ołowiany sen...

KONIEC.

Wszystko to rozwałkowane na trzydziestu czterech stronicach.

„Sen pani Epinal“ powtarza na inną nutę to samo. „Podróże po prowincyi“ traktują objaw, który dostarczył tła Goethemu do „Wilhelma Meistra,“ Gautierowi do „Kapitana Fracassy.“ Ale malowniczości pierwszego, lub chociażby drugiego, nie znajdziesz. Gadanie oschłe i znowu płytkie ostrzeżenie przed przypisywaniem talentu artystom poczynającym na prowincyi. „Uscenizowania i powtórzeń“ dotknęliśmy. Znajdujemy tam jeszcze pochwały dla pana Sardou, jako jednej z potęg dramatu. Najwięcej życia posiadają: „Pijaństwo na scenie“ i „Fanny Kemble według swych pamiętników.“

Pijaństwo było zawsze trudnem do oddania w teatrze. Aktor znajduje się między młotem i kowadłem: chciałby być prawdziwym, a boi się razić widzów. Istotnie niemiłe zadanie przedstawiać człowieka, który upada dobrowolnie.

W dramatach francuskich kilkakrotnie występowali artyści, dobrze oddający ten nałóg. Dupuis w „Milionach gladyatora,“ Bressant w „Cyruliku sewilskim.“ Przykładu sumienności aktorskiej dostarcza pani Marya Laurent. W Paryżu, przed rozpowszechnieniem się oporetek, które przyzwyczaiły do stanów niezrównoważonych, miała przedstawiać pijaną kobietę w „Złodziejce dzieci.“ Grała już rolę pijacką w „Rycerzach mgły,“ ale była to rola mężka. Do kobiet, ulegających nałogowi, publiczność nie była przyzwyczajona.

Początkowo chciała udać się do Londynu dla studyowania alkoholików. Ale przypomniała sobie, że i Paryż posiada szynki jeśli nie gorzałki, to fałszowanego wina. I z mężem codziennie chodziła około winiarni, krok w krok postępowała za mężczyznami oszołomionymi napojem, zataczającymi się pod mury. Każdy dzień posuwał ją naprzód.

W wieczór występu w łachmanach, blada i wystraszona, nietylko z roli, ale i wskutek własnej trwogi, szła dobywając sił ostatnich, z kulis naprzód estrady. „Wolałabym obiedz czterokrotnie Paryż — mówiła — niż odbywać tę drogę.“ Publiczność milczała przez kilka sekund.

Ale gdy ujrzała zbladłe oblicze, rysy spalone ogniem wewnętrznym, oczy świecące jak żagwie i włosy przylepione błotem do twarzy, błotem ulicy, wydało się jej, że widzi jakąś postać dantejską — i szeroka sala zagrzmiała oklaskami.

Fanny Kemble urodziła się w Londynie około r. 1810. Ojciec kierował teatrem Covent-Garden. Matka, francuzka, grała także kiedyś.

Była to dusza poetyczna, czcicielka Byrona. Napisała sama pięcioaktowy dramat, kiedy ojciec ją wezwał do wystąpienia.

Warunki bowiem materyalne nie były świetne, a piękna młoda artystka mogła ściągnąć widzów. Uległa woli rodziców. Zresztą rola była ponętna: bohaterki w „Romeu i Julii.“

„W pustej sali, na scenie zarzuconej ozdobami, w półcieniu deklamowałam. Nie było ani Romea, ani słuchaczów, tylko ojciec patrzył. Lecz w loży ukrytej siedział jeden ze znajomych, dobry znawca. Ledwie skończyłam, powstał, zbliżył się do ojca i radził, abym jak najprędzej wystąpiła.

Po trzech tygodniach, wśród wielkiego wzruszenia matki, ciotki i swojego, zdobyła pierwszy tryumf. Grała prawie bez przytomności. Wyjechała później do Ameryki, gdzie poślubiła w dwudziestym czwartym roku życia Piotra Butlera z Filadelfii.

Nauki usunięte z „Pijaństwa“ wracają pod koniec „Fanny.“ Młode artystki zapamiętają, iż nie potrzeba mieszać się na scenie i myśleć o czem innem.

Bezbarwne jest sprawozdanie ze wspomnień artysty Bouffé, bardziej interesujące notatki o pannie Jodin, artystce teatru francuskiego w Warszawie około drugiej połowy wieku zeszłego. Córka przyjaciela Diderota za poparciem filozofa zyskała miejsce na dworze polskim. Przez długi czas prowadziła korespondencyę ze swym protektorem, słuchała rad, zawiązała potem stosunek z hrabią Szulemburgiem i nareszcie za naigrawanie się z procesyi kościelnej została uwięzioną. To spowodowało jej wyjazd. Nie potrzebujemy dodawać, że Daudetowi chodzi głównie o rady Diderota, dotyczące gry.

Za przykład jego rozumowania posłuży rozmowa „dwóch sąsiadów w powozie“ (strapontins) p. t. „Komedya żałoby.“ Jeden z nich, przeczytawszy dziennik, mnie go i ciska z gniewem.

— Czemuż to? — pyta drugi.

— Bo czytam artykuł, powtarzający się kilka razy do roku w pismach. Wciąż głupi sentymentalizm.

— Cóż mianowicie?

— Artysta B. stracił córkę, a w dwa dni potem brał udział w przedstawieniu.

Sąsiad spółczuje z artystą, nerwowy przeciwnik sentymentalizmu jest odmiennego zdania. Cóż wielkiego nareszcie, że aktor gra na scenie, chociaż w domu leży umarły, lub walczy z ciężką chorobą droga istota? Czy sklepikarka po śmierci męża nie sprzedaje dalej cukru, a mleczarka mleka? W życiu nie powinno się żałować zmarłych, otrzeć łzy prędko i—dalej! Ostatecznie aktor zrósł się z grą dramatyczną, ta daje mu nawet przyjemność.

Mówi to „wrażliwy“ Daudet, podczas każdej rozmowy z anglikami, prawiący o swej wrażliwości. Uczuciowość wśród mieszczaństwa różne przybiera formy.

Tu szczególnie niemądrą. Bo głównie oburza się autor na pisma drukujące wyrazy współczucia. Artyści nie powinni tego przyjmować. Ciężko któremu wyjść na deski, niech nie idzie. Wytoczy dyrektor proces, to przegra, bo jakiż sędzia skarze biednego ojca?

Płytka argumentacya. Aktor jako najemnik, od pracodawcy nawet tego rodzaju ulg nie zawsze może się spodziewać. „Sędziowie ostatecznie są ludźmi.“ Określenie bardzo niejasne. Czy w człowieku przeważają instynkty szlachetne? W każdym razie w niewielu. Więc narazić się na proces i chociażby chwilowo stracić miejsce?

Pisma więcej mają słuszności podnosząc uleganie cierpiących. I może nie zawsze ten bajazzo tak wesół, gdy hasa na scenie, a w domu dziecku kładą gromnicę w rękę.

W. Bugiel.

ODCZYTY.

Stanisław Kramsztyk. *O kometach.*

Stanisław Kramsztyk, najlepszy z naszych popularyzatorów na niwie naukowo-literackiej, przypomniał słuchaczom swe niepospolite zdolności w przystępnym wykładzie żywem słowem. Nauki przyrodniczo-matematyczne nie cieszą się wielkiem powodzeniem śród naszej „inteligencyi“ Podanie więc ich chociaż cząstkowo w formie ponętnej, nie nużącej nawet najospalszego umysłu, jest nieocenioną zasługą prelegenta czy autora; nie jeden bowiem, zaciekawiwszy się urywkiem, zapragnie poznać całość. Wykład p. Kramsztyka o kometach, uplastyczniony obrazami rzucanymi na ekran, posiadał wszystkie cechy niezmiernie przystępnej i barwnej pogadanki, pomimo, że wkraczał w dziedzinę nauk wyższych, ścisłych. „Nauka jest dziedzictwem całej ludzkości, a w jej dziejach łączność pokoleń po sobie idących najsilniej się wybija. Astronom dzisiejszy jest spadkobiercą Hiparcha, Ptolemeusza, Kopernika, Keplera, Newtona, Laplace'a. Spadek, który po tych wielkich swych przodkach otrzymał, przechowuje starannie i nowemi odkryciami powiększa. Dobrze powiedział Seneka, że co jest dla nas tajemniczem, stanie się jasnem w przyszłości, a potomność dziwić się będzie, żeśmy rzeczy tak prostych nie znali.“ Tem posłannictwem nauki czystej i czcią dla jej genialnych wyznawców przejęty, p. Kramsztyk wlał w swój wykład owego ducha, który przykuwał słuchacza. Astronomia jest już dziś oparta na niezmiernie ścisłej dokładności spostrzeżeń i pewności obliczeń. Próbkę tej zdobyczy wiedzy przedstawił prelegent w odczycie. Zapoznawszy słuchacza z kometą, zaznaczywszy ważniejsze z nich, przez lat wiele badane, p. K. dokładnie opisał ich drogi i — pochodzenie. Czy należą one do naszej rodziny słonecznej i są stałymi obywatelami tego układu, czy też są tylko gośćmi przypadkowymi, przybyszami z dalekich, obcych nam przestworzy wszechświata? W ogolności uważać je można za szczątki pierwotnej mgławicy, rozproszone w pustej przestrzeni, które się dostają w obręb przyciągania słonecznego. Gdyby dokoła słońca nie toczyły się planety, kometa, przez słońce przyciągnięta, okrążyłaby je po drodze parabolicznej, ponieważ prędkość przy tem osiągnięta byłaby dostateczną, aby ją wtrącić do nieskończoności, z której przybyła. Wskutek atoli ruchu oddzielnych planet, kometa zmienia swą prędkość początkową, skoro obok którejkolwiek z nich przebiega, przyczem nastąpić może przyśpieszenie albo zwolnienie, czyli opóźnienie jej ruchu. W pierwszym razie kometa opuszcza układ nasz z szybkością większą aniżeli paraboliczna i niewątpliwie już do nas nie wróci. W drugim razie parabola przeobraża się w mniej lub więcej wydłużoną elipsę. Najczęściej wszakże zmiana może być tak nieznaczna, że dostrzeżenia nie pozwalają rozstrzygnąć pytania, czy mamy tu do czynienia z parabolą, czy też elipsą. W szczególnym tylko razie gdy kometa przejdzie blizko wielkiej planety, opóźnienie szybkości biegu może być tak znaczne, że nadaje to komecie drogę o krótszym czasie obiegu i czyni z niej stałą mieszkankę układu słonecznego. Czy rzeczywiście komety w ten sposób zostały wcielone do systemu słonecznego, obecnie nauka rozstrzygnąć tego nie może; w każdym atoli razie jest to rzecz prawdopodobna.

Wielce ciekawa była również druga część odczytu o własnościach fizycznych komet. O budowie ciał niebieskich wnioskować można jedynie na podstawie znanych własności materyi. Warunki wszakże temperatury i ciśnienia w przestrzeniach wszechświata są tak odrębne od ziemskich, że tylko wysnuwać można hypotezy. Nauka dawniejsza nie posiadała wcale środków badania budowy fizycznej brył niebieskich; stąd też wszelkie dawniejsze hypotezy o budowie komet, nie mają rzetelnego znaczenia. Obecnie zaś niesłychanie pomocną jest analiza spektralna, która z natury wysyłanego przez ciało niebieskie promienia światła, pozwala rozpoznać jego skład chemiczny i ustrój fizyczny. Jak wiadomo, komety, pomimo iż zajmują olbrzymie przestrzenie w przestworzu, są zupełnie przejrzyste, a nawet nie załamują przebiegających przez nie promieni światła. Według badań Hugginsa, widmo, pochodzące z komety, jest widmem rozżarzonego węglowodoru, zwłaszcza jeżeli gaz ten świeci pod wpływem przebiegających go iskier elektrycznych. Trudno przypuścić, iżby bryłki meteoryczne, z których się składa kometa, były otoczone atmosferą węglowodoru; niewątpliwie tylko gaz ten jest uwięziony w cząstkach meteorycznych i z nich się wywiązuje pod wpływem słońca, a działania elektryczne przy tem wzbudzone, świecenie jego wzniecają.

Jądro komety jest zapewne substancyą, która się ulatnia pod wpływem słońca. Ogon zaś nie może być dodatkiem, który kometa za sobą ciągnie; przy olbrzymich bowiem wymiarach, gdy kometa w punkcie przysłonecznym szybko się porusza, musiałby biedz za nią z niesłychaną szybkością, któraby cząstki jego w przestrzeni rozrzuciła. Substancya tedy ogona ciągłej ulega zmianie. Dawne teorye tworzenia się ogona (Keplera, Newtona) nie mają dziś znaczenia. Tyndall miał ogony komet wyjaśnić na podstawie doświadczeń, dotyczących działań elektrych promieni świetlnych. Wogóle wszakże poglądy dzisiejsze opierają się na zasadach, przyjętych pierwotnie przez Olbersa i Bessla, a polegających na przypuszczeniu, że między słońcem a kometą zachodzi działanie odpychające. Jądro komety jest także może z budowy gazowej albo złożone z rozdzielonych bryłek meteorycznych, stałych lub ciekłych, masa zaś komety jest niewątpliwie bardzo słaba, żadnego bowiem wpływu na bieg planet nie wywiera. Dla tego spotkanie z ogonem nie jest niebezpieczne dla ziemi, z jądrem zaś — byłoby groźniejszem, ale jest prawie nieprawdopodobnem. Dzięki temu, iż w ostatnich latach odwiedziła nas znaczna liczba komet, zbadano ich istotę dokładniej, lepiej nawet, aniżeli budowę niejednej planety, jak np. Saturna.

Z.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Ministeryum oświaty w Wiedniu zakupiło trzy obrazy Piotra Stachiewicza „Legendy o Matce Boskiej."

— W koncertach kijowskich brali udział Stanisław Barcewicz i Zofia Janczewska, fortepianistka, uczenica prof. Michałowskiego. Prasa miejscowa i publiczność sympatycznie przyjęły naszych artystów.

— W Paryżu wielkie wrażenie zrobiła ostatnia sztuka Björnsona p. t. „Nad siły ludzkie."

— W wiedeńskim klubie naukowym architekt Kareis miał wykład o zasługach Goethego dla elektryczności. Prelegent wykazał, że poeta utrzymywał z badaczami związek, sam wszelkie doświadczenia sprawdzał. Uznawał on elektryczność za tę formę energii, która wszystkie inne przekształca, jest poniekąd duszą świata.

— W Paryżu poraz pierwszy z własnym koncertem wystąpiła panna H. Wyganowska, śpiewaczka.

— Towarzystwo lingwistyczne w Paryżu ogłasza, że r. 1897 przyzna poraz pierwszy nagrodę inżeniera Bibesco za najlepszą pracę po łacinie lub po francusku o jednym z języków neo-romańskich. Pierwszeństwo mieć będzie studyum o języku rumuńskim. Nagroda, powstająca z procentów od sumy 10,000 fr., będzie przyznawana co trzy lata.

— W Wiedniu ukazało się dziełko lekarza chorób nerwowych d-ra Wilhelma p. t. „Sport zdrowia zastosowany do zdrowych i chorych." Autor zaleca wszelkie rodzaje sportów.

— Malarz Caillebotte, zmarły niedawno w Paryżu, przekazał muzeom narodowym bogate swe zbiory obrazów, zawierające około 60 płócien najwybitniejszych impresyonistów (między innemi: Degasa, Klaudyusza, Moneta, Pissara, Renoira, Sisley'a itd.). Zbiory oceniono na 400 tysięcy fr.

— Pozostałe po zmarłym przed trzema laty Antonim Wadze bogate zbiory przyrodnicze tudzież biblioteka wyłącznie dzieł treści naukowej, przechodzą, według doniesień *Kuryera warsz.*, na własność krakowskiej Akademii Umiejętności. Dotychczas spoczywają one w warszawskim ogrodzie Frascati w kilkudziesięciu pakach.

— Wyjdzie w Warszawie Album rzemieślnicze, przeznaczone dla różnego rodzaju rękodzieł. Kilka tablic do tego wydawnictwa wykonano już sposobem światłodrukowym. Do całości wejdą kopie z okazów ślusarskich, wyrobów dawnego stolarstwa, tokarstwa, bronzownictwa, dekoratorstwa, złotnictwa itd. Rysunki mają być opatrzone objaśnieniami.

— Cesarska Akademia sztuk pięknych w Petersburgu nadesłała pod adresem krakowskiej szkoły sztuk pięknych następujące pismo po francusku: „Profesorowie i uczniowie Cesarskiej Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, odczuwając z boleścią stratę, jaka dotknęła sztukę w osobie znakomitego artysty Jana Matejki, postanowili przesłać wam wieniec, uprzejmie prosząc o złożenie go na grobie zmarłego mistrza. Spełniając to pobożne życzenie, mam zaszczyt przesłać wieniec od wyżej wymienionych osób. Petersburg, d. 6 lutego r. 1894 (podpisano) wice-prezydent hr. Tołstoj."

— W miejsce zmarłego Józefa Łepkowskiego, konserwatorem zabytków budowlanych dla Galicyi zachodniej został prof. dr. Stanisław Smolka, sekretarz generalny krakowskiej Akademii Umiejętności.

— W miejsce ks. Czartoryskiego, prezesa, i hr. Zygmunta Cieszkowskiego, sekretarza dyrekcyi krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych, wybrani zostali: prezesem — Henryk Rodakowski, malarz, sekretarzem — Konstanty Górski. Ujawnia się dążność w kierunku zmian statutu Towarzystwa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Gazeciarstwo. — Pochód cywilizacyi. — Sąd hr. Leona Tołstoja o Michajłowskim. — Krytyk muzyczny p. Iwanow. — Reporterka malarska.

Mój przyjaciel — Juliusz Stoczek — przedstawia sobie piśmiennictwo starożytne w postaci mędrca, średnich wieków — jako zakonnika-egzorcysty, nowych zaś czasów — jako skoczka cyrkowego.

Starożytni pisali, aby czegoś nauczyć ludzkość, średniowieczni, ażeby zbawić duszę bliźniego, nowożytni, aby ubawić rzeszę.

Sądowi temu można wiele zarzucić; musimy jednak zgodzić się, że gazeciarstwo ma pewne podobieństwo z cyrkiem, gdzie, podług dowcipnej uwagi pewnego publicysty, zaraz po koniach najmędrszymi są pajacy.

Ci, którzy biadają, że w zakresie ideałów i celów ludzkości koniec XIX wieku w zestawieniu z początkiem wygląda licho, niech połowę winy przypiszą gazetom, a z pewnością się nie omylą.

Nieraz słyszymy sądy, że za granicą oświata robi wielkie postępy, ponieważ tam każdy czyta gazetę. Mniemałbym, że postęp mierzy się nie liczbą czytających, ale tem, co oni czytają, a więc poziomem poglądów tych, którzy piszą.

W wędrówkach po drodze życia wypadało mi zabierać znajomość z czeladzią gazeciarskiego warsztatu — i oto statystyka: z dziesięciu zaledwo trzej otarli się o wszechnicę, dwaj nie ukończyli gimnazyum, a żaden nie lubi czytać, szczególnie rzeczy poważniejszych. O Darwinie i Spencerze każdy coś słyszał — być może od studentów znajomych — o innych myślicielach sądzą, że pisali bajki z tysiąca i jednej nocy... A jednak w każdym artykule gazety ile pewności siebie, patosu i tych zasad niezłomnych, co z ludzkością nic nie mają wspólnego. Zresztą słodko-kwaśne artykuły o miłości i miłosierdziu można niekiedy spotkać w gazetach typu klerykalnego — niestety, ludzkość się tam dzieli na dwie grupy: owiec i kozłów, a taki nieomylny podział z postępem chyba nic nie ma wspólnego.

Dawno jest dowiedzionem, że pierwsze kroki cywilizacyi, czy to wśród ludów dzikich, czy w wędrówkach z miast do wsi — bywają koszlawe, a przedewszystkiem mają szczególną charakterystykę:

Jak ostrożny łotrzyk, aby zmylić pogoń, idzie do celu, cofając się, tak również działa i nasza oświata. Nie dziw, że mniej pozorny badacz woła: Powiadają, że ów lud prosty nawiedziła cywilizacya; ja zbadałem to wszystko na miejscu i ślady jej stóp na błocie wskazały mi, że owszem, ona podążyła wstecz.

Niewiele trzeba przezorności, ażeby odgadnąć, dlaczego w pierwszej dobie tak zwana cywilizacya niesie zgorszenie, a nawet zepsucie obyczajów. Kto są pierwsi pionierzy? Albo awanturnicy, którym w domu zbyt ciasno, lub kupczyki, szukający zarobku — wogóle lud półciemny i żarłoczny. Jeżeli, jako kruk biały zabłądzi do nowej krainy mędrzec, zajmie się badaniem przeszłości ludów, wreszcie fauną i florą, lecz powszedniemu życiu biedaków, którym cywilizacya zgmatwała ścieżki, nic nie da.

Wszystko to da się zastosować i do gazeciarstwa. Mierzyć więc postęp liczbą czytających gazety — zbyt śmiało, zwłaszcza że nawet nasi światli, zepsuci reporterskimi skandalami, pochlebstwem, wykrzyknikami: co to my! — chleba zdrowego spożywać nie umieją i skoro trafi się czasopismo poważniejsze, biadają.

Nie dziw więc, że przeciwko pochodowi cywilizacyi gazeciarskiej odzywają się głosy. Słyszeliśmy już naganę Brunetiéra, prawie toż samo w przeszłym miesiącu powiedział Leon Tołstoj.

Pewien publicysta nawiedził go jużci dlatego, ażeby z potocznej pogawędki utworzyć artykuł. Wszczęła się rozmowa o znanym publicyście Michajłowskim, przyczem Tołstoj dodał, że zupełnie go nie zna. Wie, że ten krytykuje, sądzi, roztrząsa, ale ponieważ nie napisał ani jednej książki, więc nie wiadomo, czem jest. Mogę widzieć czyjeś oko, nos, usta, a oblicza nie znać.

A oto i drugie zdanie podobnej natury. Któż w okolicy nie zna krytyka muzycznego z gazety *Nowoje Wremia*, p. Iwanowa? Nikt nie śmie ani zagrać, ani zaśpiewać, nie oglądając się na niego; tymczasem niedawno król stołecznych kapelmistrzów N. w potocznej rozmowie tak biadał:

Jaka szkoda, że tak wielki talent, jak Iwanowa, marnieje. Znam jego utwory, są to rzeczy dorywcze, nieopracowane, na wiatr rzucone. Skoro nie chce pracować w zakresie twórczości, niechby zużył swe siły na napisanie książki — historyi muzyki rodzinnej: zbadał jej charakterystykę, określił, co zdziałała, jakiemi dąży drogami. Wymyślanie zaś w dorywczych artykułach temu lub owemu artyście niewiele przyczyni się do oświaty. Jakiś Figner lub Strawiński zyskają i bez artykułów oklaski i chwałę, liche zaś śpiewaczki, którym p. Iwanow nieraz prorokował świetne losy, ginęły bez śladu.

Wkrótce bezwątpienia i w zakresie malarstwa usłyszymy narzekania na dorywczość, reporterkę. Doszło do tego, że nawet profesorowie zadawalają się rzuceniem na płótno kilku krzaków i skraju sadzawki, bez żadnej idei przewodniej, bez twórczej siły. Są to mniej więcej udatne fotografie; a tej reporterskiej strawy coraz więcej — księgi pisać nikt nie chce. Jeszcze chwila i ktoś dowcipny założy warsztat i zacznie wydawać obrazy bez imion czeladzi. Tem lepiej — powie optymista — przynajmniej prace artystów trafią do najciemniejszych zakątków; sztuka stanie się demokratyczną. Skoro demokratyzm i fuszerka muszą iść w parze, nie wielka zeń pociecha.

Jak będzie — nie wiadomo, tymczasem zaś ilość obrazów mnoży się. Zaledwo zamknięto wystawy: petersburskiego Towarzystwa artystów i uczniów, otwarto zwykłą akademicką i ruchomą. Pierwsze dni przeszły prawie bez śladu, nie pozostawiając żadnego głębszego wrażenia i zatrzymując zaledwie widzów przed płótnami Kraczkowskiego i Siergiejewa. Wystawę akademicką poprzedził rozgłos, a nawet skandal. Wyznaczeni z łona akademii

krytycy, podobno pod wpływem wykrzykników: starzy i nowi, czyli wasi i nasi, do tego stopnia jęli brakować obrazy, że nawet utwory niektórych profesorów uznali za niegodne. A chociaż zdecydowano w końcu, że profesorowie powinni być wyłączeni z pod ogólnego prawa, ci wiedzieli już o wszystkiem i naturalnie czuli się obrażonymi. Ostatecznie zabrakowane obrazy zgromadzono w jedno miejsce i otwarto nową wystawę. Porównanie obu wystaw zrobimy w następnym liście.

N. B.

LIBERUM VETO.

Tabuowana dziedzina wiedzy i przywilej jej kapłanów. — Etyka lekarska. — Znamię systemów moralności. — Konsyllum etyczne w *Kuryerze codziennym*. — Dwa przykłady moralności stanowej. — Etykieta lekarska. — Ogólne zasady postępowania. — Materyalne szydło w idealnym worku.

Nie wiemy, czy przedtem była ujęta w jakiś system, czy po raz pierwszy objawiła się światu przed kilku laty w odcinku *Gazety lekarskiej*, dość że od tego czasu zaczęła straszyć ludzi t. zw. etyka lekarska. Ile razy my, niewtajemniczeni w zakon Eskulapa, bąkniemy coś o medycynie, w tej chwili jej przedstawiciele przywołują nas do porządku i przypominają o szewcu, obowiązanym strzedz kopyta. Natomiast gdy lekarze rozprawiają — i to nieraz z wielką stanowczością — o architekturze, malarstwie, poezyi, lingwistyce, prawie itd., my słuchamy grzecznie i nie odmawiamy im wcale prawa do zabierania głosu w tych przedmiotach. Milcząco zgodziliśmy się na to, że medycyna jest arką, kryjącą w sobie tablice zrozumiałe tylko dla poświęconych, wszystkie inne zaś nauki są zajazdem, gdzie każdy może zamieszkać i ocenić wygody noclegu lub jadła. Gdyby dr. Rolle był historykiem i zaczął pisać o terapii, wyśmianoby jego zuchwałość; ale gdy będąc lekarzem, pisał o historyi, przyklaskiwaliśmy mu chętnie. Śród umiejętności tegoczesnych jedno z najpośledniejszych miejsc zajmuje etyka. Są ludzie, którzy nawet nie przypuszczają, ażeby ona wogóle była jakąś nauką, ażeby wymagała specyalnych badań i wiedzy, a już chyba niewielu jest tak skromnych, którzyby nie czuli się uzdolnieni do rozstrzygania jej zagadnień w ostatecznej instancyi. Rzecz naturalna, że to powszechne lekceważenie związanych z nią trudności musiało przeniknąć również lekarzów, którzy wszakże nietylko przyznają sobie prawo stanowienia reguł moralności ogólnej, ale nawet wyłączny przywilej określania własnej. Tym sposobem wynaleziona została „etyka lekarska,“ całkiem niezależna od ogólnej i regulowana jedynie przez stan medyczny. Wszyscy po za tem bractwem są tak w niej pozbawieni głosu, jak w kwestyach terapii lub chirurgii. Czy lekarz właściwie postępuje, to do nas również nie należy, jak to, czy w chorobie przepisuje właściwe środki.

Miejmy wszakże odwagę zastanowić się raz nad tą zamkniętą sferą moralności. Że reguły postępowania są różne w różnych czasach i miejscach — o tem wszyscy wiemy. Turek, widząc mężczyzn, obejmujących kobiety podczas tańca w salonach europejskich, uczuwa zgrozę. Chińczyk uważa czarny kolor ubrania za obrazę żałoby. Mieszkanki wysp Sandwicz przypływają nagie do okrętów europejskich z odzieżą na głowach, którą wdziewają dopiero na pokładzie, nie wstydząc się wcale załogi. Nowozelandczycy zjadają lewe ucho pokonanego nieprzyjaciela — itd. Wszelki jednak system etyczny usiłuje ogarnąć całe społeczeństwo, śród którego się rozwinął. Toż samo dostrzegamy w teoryach filozoficznych. Każda z nich, czy to oparta na maksymie Benthama, pragnącej osiągnąć największe szczęście największej liczby ludzi, czy to na regule Kanta, zalecającej tak czynić, ażeby zasada tego czynu mogła być prawem ogólnem — stara się być powszechną i ta właśnie powszechność jest charakterystycznem znamieniem moralności. Natomiast jeżeli śród jakiegokolwiek społeczeństwa pewna jego warstwa, pewien stan wytwarza osobną dla siebie etykę, mianem tem okrywa jedynie swoje interesy, które pozostają w sprzeczności z interesami innych warstw i stanów. Skutkiem tego etyka klasowa i kastowa jest zawsze przeciwną etyce ogółu, gdyż tylko ta sprzeczność ją wywołuje i uzasadnia. To też prawie wszystkie waśnie i walki wewnętrzne są starciami owych mniemanych etyk cząstkowych, będących płaszczami interesów. Można łatwo o tem się przekonać, rozebrawszy pierwszy lepszy proces społeczny. Czemże np. usprawiedliwia swoje napaści antisemityzm? Twierdzi on, że żydzi wyodrębnili zasady swego postępowania od zasad społeczeństwa, w którem żyją, że posiadają własną etykę, niezgodną z dobrem innych żywiołów. Też same zarzuty czyniono są również członkom wszelkich syndykatów, uczestnikom zmów, handlarzom wyzyskującym spożywców itd. Twórcy i obrońcy „etyki lekarskiej“ nie utorowali sobie drogi nowej, lecz weszli na gościniec, wydeptany od wieków przez najrozmaitsze klasy ludzi, złączonych wspólnością interesu, a ponieważ tym torem chodzi każda z nich, więc nie mielibyśmy powodu poczytywać im tego za winę, gdyby oni nie chcieli w nas wmówić, że ubezpieczają się w imię jakichś wyższych godeł i strzegą jakiejś moralności, którą wyznawać i szanować powinniśmy. Właściwym ich grzechem nie jest jakieś szczególne samolubstwo, lecz nieszczerość i chęć ochrzczenia rzeczy bardzo prozaicznej mianem bardzo idealnem. Świeżo życie dostarczyło nam wymownego dowodu w tym względzie. Pewien lekarz zaofiarował pewnemu stowarzyszeniu wzajemnej pomocy *bezpłatną* pomoc dla jego członków; inny znowu, przybywszy do miasteczka, gdzie chciał osiąść, i dowiedziawszy się, że tam mieszka *stary* i *chory* lekarz, nie chcąc mu odbierać praktyki, cofnął się. Otóż *Kuryer codzienny* urządził wielce złośliwą „ankietę,“ rozesławszy do 100 lekarzy listy z prośbą o ocenę tych dwu faktów ze stanowiska „etyki lekarskiej.“ Część nie odpowiedziała nic, większość wyłożyła tę „etykę“ w sposób zaiste godny poznania. Mianowicie co do pierwszego wypadku głosujący w *Kuryerze codziennym* oświadczają: Bezpłatne leczenie ludzi, żyjących z własnej pracy i nie zupełnie biednych nie jest uczynkiem miłosiernym, lecz nieprawidłowym i szkodliwym, gdyż główną pobudkę stanowi tu chęć rozgłosu. Fakt zaofiarowania przez lekarza bezinteresownej pomocy członkom stowarzyszenia pozostaje w niezgodzie z zasadami etyki zarówno lekarskiej, *jak ogólno-ludzkiej* (to pyszne!) .. Osoba, nieżądająca wynagrodzenia za swą pracę, postępuje równie niewłaściwie (pominąwszy rzadkie wypadki), jak stowarzyszenie, niewynagradzające obcych ludzi, od których wymaga pewnych usług.

To nie fejletonowa karykatura, lecz tak rzeczywiście napisano i wydrukowano.

Krzyczano na Dyogenesa, Epikura, Lamettriego, Holbacha, Maupertuis'ego, Larochefoucaulda, że odarli naturę ludzką z wszelkich uczuć altruizmu i pod objawy jej woli podłożyli wyłącznie sprężyny egoistyczne; a jednakże żaden z tych filozofów nie posunął się tak daleko w apoteozie praw sobkostwa, a słynny autor *Maksym*, przeczytawszy ten wywód, włączyłby go jako dokument do swej książki. Co do mnie, wyznaję, że jakkolwiek zajmuję się od lat wielu badaniami etycznemi i znam najdziwaczniejsze zboczenia rozwoju moralnego, nie wiedziałem i nie przypuszczałem, ażeby istniała gdziekolwiek grupa ludzka, w którejby bezpłatna porada lekarza, udzielana członkom stowarzyszenia skromnych pracowników, mogła być uznana za czyn podlegający naganie nawet ze stanowiska „etyki ogólno-ludzkiej.“ Dotychczas bowiem etyka ta nie krępowała nikogo w bezinteresownej pomocy tym, dla których żywimy sympatyę bez względu na ich zamożność. Zdawało mi się, że gdyby to było potrzebą mojego serca, mógłbym wyświadczać usługi nawet ordynatowi Zamojskiemu, nie popełniając żadnego grzechu wobec „etyki.“ Chałubiński leczył darmo wszystkich literatów, artystów itd., chociaż nie czynił tego dla rozgłosu i chociaż oni niczem mu się nie odwzajemniali. Szanowny dr. K. od 12 lat okazuje mi w każdym wypadku najżyczliwszą pomoc, nie chcąc przyjąć honoraryum, pomimo że nie należę do najbiedniejszych, a on nie wydobywa ze swej bezinteresowności żadnej reklamy. Ale rozwińmy zasadę do jej dalszych konsekwencyj. Jeżeli jesteś prawnikiem i znajomemu chłopu napiszesz bezpłatnie skargę do sądu, to obrażasz etykę nietylko adwokacką, ale i ogólno ludzką, gdyż 1) ów chłop może trud twój wynagrodzić i 2) odbierasz honoraryum jakiemuś obrońcy lub bodaj pokątnemu doradcy, do którego ten klient by się zwrócił. Jeżeli zaniesiesz bezinteresownie do kogoś list, to również czynisz niemoralnie, gdyż odbierasz zarobek posłańcowi publicznemu. I tak dalej. Że mogą istnieć lekarze, wyznający taką „etykę,“ to pojmuję, ale że oni ją publicznie głoszą i wiążą z „etyką ogólnie ludzką,“ to mnie przejmuje najwyższym podziwem dla ich — odwagi.

Zważmy drugi jej przykład. Do miasteczka przyjeżdża lekarz, który zastaje kolegę starego, chorego, niezdolnego do pracy ani fizycznie, ani umysłowo. Zdawałoby się, że jeżeli nie interes osobisty, to społeczny powinienby go skłonić do osiedlenia się w takiem miejscu. Boć przecie widzi, że ludzie tam pozbawieni są właściwie opieki lekarskiej lub też, co gorsza, skazani na powierzenie swego zdrowia człowiekowi niedołężnemu, który sam jej potrzebuje, a osłabiony chorobą nie rozporządza należytemi siłami umysłowemi. Otóż nie — odjeżdża! Niech dyabli biorą ludność okoliczną, niech ona choruje, umiera, cierpi na nieudolnych radach starca, aby tylko „etyce lekarskiej“ stało się zadość. Bo — jak twierdzi jeden z jej obrońców w *Kuryerze codz.*— „urobił się w praktyce życiowej zwyczaj, święcie (no, no!) dotąd szanowany, że w miejscowości zajętej przez jednego lekarza, drugi bez jego wiedzy i zezwolenia nigdy się dotąd nie osiedlał (a na żydowską *chajzówkę*, zabraniającą handlować izraelitom bez porozumienia się, krzyczymy)... Chory kolega powinien był sam postarać się o zastępcę, a gdyby był tego nie uczynił, mogli to za niego inni (kto?), w tej sprawie zainteresowani, uczynić z łatwością.“

Gdyby nie fakt, że wyznawcy takiej „etyki“ stanowią zaledwie część zastępu lekarskiego, że wielu i to może najpoważniejszych wcale jej nie uznaje, owszem potępia, moglibyśmy zawołać, jak ów chory generał śród doktorów, którym nie ufał: „Boże, w jakież my ręce wpadliśmy!“ Wszakże tak źle nie jest. Podana między innemi w *Kuryerze* rozsądna i moralna odpowiedź dr. Kramsztyka świadczy, że jesteśmy zabezpieczeni od „etyki lekarskiej.“

Przytoczone wypadki stwierdzają chyba dowodnie, że ile razy jakaś klasa społeczna ustanowi dla siebie etykę osobną, całkowicie lub częściowo przeciwstawi ją dobru ogólnemu. A jeżeli nawet ona temu

dobru nie szkodzi, nie jest żadną „etyką,“ lecz etykietą. Tak też lekarze powinni nazwać swój zakon. O ile on bowiem nie sprzeciwia się interesowi pacyentów, jest zbiorem przepisów grzeczności, jakich winien przestrzegać kolega względem kolegi. Etyka, moralność nie ma tu nic do czynienia. Prawa uczciwości są jednakie zarówno dla literatów, rzemieślników, adwokatów, jak dla lekarzów. Ci ostatni nie potrzebują wynajdywać dla siebie osobnych probierzów moralności, gdyż im powszechne wskażą właściwą drogę w każdym wypadku. Jeżeli zaś one są niewygodne lub niewystarczające, wolno w epoce przeciwieństwa i walki interesów wywiesić sztandar egoizmu, tylko nie należy go ozdabiać godłami „etyki,“ a nadewszystko „etyki ogólno-ludzkiej.“ Wtedy bowiem do samolubstwa dołącza się obłuda, która czyni jego oblicze jeszcze szpetniejszem, a materyalne szydło zawsze wylezie z idealnego worka. Kto ma odwagę własną korzyść podnieść po nad ogólną, niechże będzie dość szczerym, ażeby się do tego wyraźnie przyznać.

W żadnym stanie nie spotykałem więcej ludzi uczciwych, rozumnych, szlachetnych, gotowych do poświęceń, niż w lekarskim; z tem większą przykrością widzę na jego charakterze plamy „etyki,“ które on powinien z siebie zetrzeć.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Inżenier i nauczyciel wyższej szkoły rzemieślniczej, p. B. Sturzel, wraz z geometrą, p. Z. Kułakowskim, wykonali szczegółowy pomiar Łodzi i na tej podstawie wypracowali dokładny plan, który wkrótce wyjdzie z pod prasy. — W Zbiorze praw ogłoszono rozporządzenie o przekształceniu policyi miejscowej. Etat jej ustanowiono na 141,615 rs. Straż ziemska będzie zniesiona. Na miasto włożono obowiązek udzielenia odpowiedniej liczby lokalów i stajen, tudzież leczenia członków policyi w szpitalu miejskim bezpłatnie. Wogóle cała organizacya będzie wzmocniona, co jest oddawna pożądane wobec zuchwałych rozbojów, rabunków i— „nożownictwa,“ tj. kaleczenia się nożami przy lada zatargu. — Departament kolejowy nadesłał do rady zarządzającej kolei Fabryczno-Łódzkiej zatwierdzoną przez ministerym komunikacyi ustawę kasy zaliczkowo-wkładowej dla urzędników tej drogi. Obecny fundusz emerytalny, wynoszący około 100,000 rs., będzie wkrótce zlikwidowany, wnioski jednak uczestników nie będą wypłacone w gotowiźnie, lecz przelane do nowej kasy. Dotąd urzędnicy wnosili na rachunek emerytalny 4% z pensyi miesięcznej, drugie zaś tyle dopłacało Towarzystwo kolei. Według nowej ustawy, urzędnicy płacić będą 6% od pensyi, a Towarzystwo tylko 3%. Ustawa, pomimo że zaledwie przed kilku dniami otrzymana, obowiązuje wstecz od 1 stycznia r. b., a różnicę wniosków za czas ubiegły, według nowych przepisów w stosunku do dawnych, uczestnicy i Towarzystwo dopłacą gotowizną.

Radom. Miejscowi miłośnicy muzyki urządzili koncert na budowę pomnika Chopina. Dochód brutto wynosił 313 rs. 20 kop. Wykonano utwory wyłącznie powyższego kompozytora. — *Gazeta radomska* wydrukowała szereg artykułów o prasie warszawskiej. Między innemi pisze: „Głównie w tygodnikach wypowiada się nasza myśl społeczna — są one zwiastunami budzących się prądów duchowych... Służą widownią dla rozwinięcia się wszystkich naszych talentów literackich; wszystkie nowe kierunki literackie w ich łonie znajdują oświetlenie i wytłomaczenie. Rozwój taki tygodników świadczy o pewnem natężeniu naszego życia duchowego; fale płyną w tempie przyśpieszonem i wartkiem, ukazują się coraz nowe zjawiska na powierzchni, ogół chce być szybko powiadomionym o tem, co się dzieje na szerokim świecie.“

Kalisz. Na utrzymanie szkoły realnej, przeniesionej tu z Włocławka, wyznaczono niezależnie od zapomogi z funduszów kasy miejskiej, dodatkową składkę ze strony mieszkańców Kalisza w wysokości 900 rs. rocznie. — Stowarzyszenie miejscowych cyklistów rozwija się i ożywia. Obecnie urządzają oni własny tor w mieście i siedzibę. — Na ostatniem posiedzeniu kasy pożyczkowej przemysłowców kaliskich wprowadzono pewne zmiany w ustawie, nadto postanowiono dozwolić uczestnikom stawiania swych wniosków z warunkiem, aby były podpisane przynajmniej przez 10 członków i złożone na trzy dni przed posiedzeniem.

Wilno. Emigracya żydów z gub. wileńskiej do Ameryki w ostatnich czasach znacznie się zmniejszyła. Jakoś ochłonęli oni z pierwszego wrażenia, co być może, iż pochodzi z listów, pisanych do znajomych lub rodziny przez kolonistów, którzy w smutnych barwach opisują swoje położenie za oceanem. Ale jednocześnie daje się spostrzegać inny objaw — dążność wychodźcza do Afryki południowej (kolonij angielskich). Pierwsze objawy tego ruchu dostrzeżono jeszcze na wiosnę r. z. Wyjechało tam między innymi sporo rzemieślników. Według przypuszczeń *Gazety polskiej*, emigracya do Afryki nie ustanie i w r. b., „chociaż nad Wilią nie przybiera ona takich rozmiarów, jak na Żmudzi.“ Najwięcej wychodźców dostarczają powiaty: wileński, oszmiański i trocki. — Ostatnie sprawozdanie wileńskiego Towarzystwa pomocy młodzieży szkolnej wykazuje 153 członków, płacących rocznie po rs. 3. Za rok ubiegły wpłynęło od nich rs. 459. Ogółem zaś z innymi wpływami dochód wynosił 4,581 rs. 96 k., wydano zaś rs. 2,295.

Mińsk. Bezśnieżna zima ubiegła doprowadziła do rozpaczy handlarzy leśnych. Trzeba wiedzieć, co to są drogi litewskie i białoruskie, ażeby mieć pojęcie o rozmiarach klęski dla wszystkich przedsiębiorstw, opartych na komunikacyi, gdy grunt przez długi czas jest pulchny i grząski. Z pustym wozem lub bryką można przejechać jako tako, ale już niepodobna marzyć o wywozie drzewa, częstokroć z miejscowości poprzerzynanych bagniskami. Zima zeszłoroczna znowu, zanadto śnieżna, wpłynęła również paraliżująco na interesy kupców drzewnych. To też ponióśszy znaczne straty, starają się oni teraz o przedłużenie terminów eksploatacyi lasów, za co ofiarują właścicielom po 25% i więcej ceny sprzedażnej. — Hr. Karol Czapski, prezydent miasta, otworzył w Mińsku z udziałem ziemian okolicznych miejski skład drzewa, dla ochrony mieszkańców od wyzysku spekulantów. Aby ceny były jak najniższe, inicyator wyjednał w ministeryum dóbr państwa zezwolenie na kupno 100 tysięcy pni w lasach skarbowych (borysowskich i welatyckich) z ustępstwem 50—90%, względnie do odległości miejsc eksploatacyi od kolei. Nadto od zarządu drogi Moskiewsko-Brzeskiej wyjednał zniżkę taryfy przewozowej o 3%.

Moskwa. Upadek dwu towarzystw ubezpieczeń od ognia, „Moskwa“ i „Rosyanin,“ zwrócił uwagę rządu na inne instytucye tego rodzaju. Dla zabezpieczenia interesów publiczności zażądano kaucyi, którą wniosło do kasy Banku państwa Tow. „Otieczestwo“ w wysokości 600,000 rs. Z kapitałem $2\frac{1}{2}$ mil. rs. zamierzało ono początkowo działać w zakresie transportowym, ogniowym i życiowym. Zrażone atoli bankructwem „Rosyanina,“ zaniechało pierwszej czynności i działa tylko w ubezpieczeniach od ognia. W rozwoju tego Towarzystwa zainteresowane jest kupiectwo moskiewskie. Drugie stowarzyszenie nowe — „Kreml,“ musi również kaucyę złożyć. — Podług planu W. Lindleya, kanalizacya Moskwy urządzona będzie przez założenie rur steingutowych. W tym celu zawarto układ z konsulem holenderskim w Warszawie, inż. Mac-Donaldem, jako akcyonaryuszem fabryki w Münsterburgu, na mocy którego zakład ów zobowiązał się w ciągu dwóch lat dostarczyć 1000 wagonów rur rozmaitych. — Na ostatniem posiedzeniu rady uniwersyteckiej zatwierdzeni zostali w stopniu prowizora farmacyi: Jan Adamkowicz, Ludwik Białostocki, Karol Grosicki, Antoni Kisiel, Antoni Krawczyński, Stefan Królikowski, Józef Mężyński i Stanisław Prokopowicz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 marca.

Prace Towarzystwa polityki socyalnej nad własnością chłopską. — Obrady kongresu. — Mówcy i ich programy. — Skargi agrarczyków. — Odwrotna strona medalu. — Wpływ inspekcyi fabrycznej. — Statystyka emigracyi zamorskiej.

Towarzystwo polityczno-społeczne“ już od dziesiątka lat na corocznych swych wiecach zajmowało się kwestyami związanemi z ziemią. Ostatni atoli zjazd wydał bogate rezultaty. Przedsięwzięte bowiem zostało zbadanie stosunków robotników wiejskich. Rozesłano w grudniu 1891 r. 3,600 egzemplarzy kwestyonaryusza, na które nadeszło blizko 2600 odpowiedzi — wynik w takich razach niezwykle pomyślny. Opracowanie tego materyału dostało się w ręce bardzo właściwe — specyalistów uniwersyteckich. Kaerger otrzymał północno - zachodnie Niemcy, Losch—Wirtembergię, Badeńskie i Alzacyę, Frankenstein — Niemcy środkowe, Bawaryę itd., Grossmann—Szlezwig, Saksonię, Weber — Niemcy na wschód od Elby itd. Jest to praca potężna, obejmująca przeszło 2000 stron druku, a jeżeli jej owoce nie mogą być uważane za ostateczne już chociażby ze względu na fałszywą metodę zbierania danych (kwestyonaryusz rozsyłano tylko pracobiercom), to w każdym razie nie można ich lekceważyć.

Kwestya robotników wiejskich w Niemczech sprowadza się do tego, że ustrój, stworzony po zniesieniu pańszczyzny, dąży dziś do zupełnego upadku, na co składają się warunki wielkiego przemysłu, który coraz silniej wdziera się w sferę produkcyi rolnej, nadto coraz potężniejsza świadomość klasowa najmitów wiejskich. Utracili oni poczucie sielanki pozostawania w miejscu: przedewszystkiem więc wędrują; powtóre nie chcą, ażeby pracowała wraz z nim kobieta i dziecko. Mamy tutaj przed sobą już pewien program. Najmita tego rodzaju chce wreszcie zostać niezależnym.

Jest to rzeczą zupełnie jasną, że wobec działania jednakich przyczyn i skutki muszą być podobne: wraz z zapanowaniem maszyny w gospodarstwie rolnem, wraz z kulturą intenzywną odbyć się musiał literalnie ten sam przewrót w świecie idylli wioskowej, z którym, jako z faktem spełnionym, liczymy się w sferze wielkiego przemysłu. Wielka własność ziemska coraz częściej chwyta się siły roboczej wędrownej, przedewszystkiem zaś chętnie korzysta z polskiej. Sprawozdawcy przyznają, że polak jest powolniejszy i mniej hardy. Gdy komisya działająca w Poznańskiem wynaradawia tę dzielnicę, wielka własność ziemska na przekór wszystkim ultra-narodowym fanatyzmom junkrów działa wręcz przeciwnie.

Prof. Sering rozpatrzył oddzielnie „wewnętrzną kolonizacyę we wschodnich Niemczech“ na podstawie wyników parcelacyi i kolonizacyi w Poznańskiem i Prusach zachodnich. Nie możemy zastanawiać się szczegółowo nad treścią tej ciekawej pracy, przytoczymy więc tylko główniejsze wnioski. Silny prąd organizacyi, który uniósł z granic państwa trzy czwarte przyrostu ludności od r. 1885—1890 jest objawem choroby społecznej, której przyczyn autor dopatruje się w nienormalnem ukształtowaniu stosunków rolnych tych prowincyj, w pozbawianiu wielkich mas ludu pracującego praw do roli. Brak zupełny nadziei poprawienia sobie doli każe chłopu

szukać szczęścia za oceanem i w wielkich miastach. Zadaniem więc państwa jest stworzyć drogę i możliwość, ażeby on mógł podnieść się ze stanowiska robotnika wiejskiego na poziom właściciela. Jest tutaj pole do działania obszerne, zważywszy, że owe prowincye w porównaniu z innemi częściami monarchii niemieckiej zajmują stanowisko zupełnie odmienne.

W wykładzie o ratowaniu i ochronie drobnej własności ziemskiej, prof. Sering przypisuje wielkie znaczenie prawodawstwu z r. 1891-go i sądzi, że po upływie jednego lub dwu pokoleń (30—50 lat) ustrój własności ziemskiej na „Wschodzie niemieckim“ będzie zupełnie innym. Prof. Conrad radził, ażeby ograniczyć prawnie powierzchnię maksymalną fideikomisów (dóbr ordynacyjnych). Z drugiej strony należy ścieśnić swobodę drobienia własności chłopskiej na coraz mniejsze parcele, oraz odłużania jej. Wszelki kredyt na kupno ziemi winien nosić charakter pożyczki niewymagalnej, ale spłacanej drogą amortyzacyi. Kredyt melioracyjny powinien być dostarczany przez instytucye publiczne.

Już od lat dziesięciu przeszło kwestya odłużenia własności ziemskiej i jej upadku stanowi wszędzie przedmiot poważnych roztrząsań i wywołała już ze strony rządów europejskich cały systemat środków mających zapobiedz gwałtownemu ubożeniu. Nietylko otaczają one opiekuńczem ramieniem instytucyi kredytowych niższe warstwy drobnej własności, ale siłą się na uspokojenie niezadowolenia większych lub średnich „dziedziców.“ Tutaj w Niemczech niezadowolenie to toruje sobie coraz szersze drogi, ucieleśnia się w formie otwartych związków ziemian i otwarcie staje do walki z polityką rządu. Podczas ostatnich obrad parlamentarnych nad traktatem handlowym z Rosyą grano już w zupełnie otwarte karty. Przytoczymy w tej sprawie kilka przykładów przeciwnej treści. *Illustirte laudwirthschaftliche Zeitung* podaje wykaz dochodów na majątku rodzinnym v. Knebel-Döberitzów, według którego zbiory wynosiły za czas 1821—31 roku 3,214 szefli *) zboża; w piątem dziesięcioleciu cyfra ta dochodzi do 3951; w szóstem — 4,462 sz. zboża + 500 cent. kartofli; za czas 1861—71 r. wynosi 5,076 zboża + 2,800 ctn. kartofli; w ósmym dziesięcioleciu spada nieco, daje bowiem dla zboża 5,044, natomiast produkcya kartofli wzmaga się do 4,500 ctn.; w ostatniem dziesięcioleciu 1881—1891 wzrasta o 50% i przedstawia dla zboża 7,645 sz. + 7,400 ctn. kartofli + 5,000 ctn. jarzyny pastewnej.

Inny przykład jest jeszcze jaskrawszy. Pewien dzierżawca objął dość zniszczony majątek w r. 1884. Wtedy otrzymał z morga: żyta $7^3/_4$ ctn., pszenicy $3\frac{1}{2}$ ctn., owsa 7 ctn., jęczmienia 12 ctn. Podniósł kulturę ziemi, oczyścił rolę z chwastów i po ośmiu latach (1892 r.) osiągnął następujące rezultaty: produkcya żyta wzrosła prawie wtrójnasób ($19\frac{1}{2}$ ctn. z morga), pszenica prawie pięć razy więcej (15,3 z m.), owies i jęczmień dały po 18,85 ctn. z morga.

Są to przykłady dość rażące i wyjątkowe. Reguły stanowić nie mogą i nie w tym celu przytaczamy je tutaj. Dr. J. Zuns, z którego zapożyczyliśmy te dane, żąda tylko przedsiewzięcia ankiety rządowej co do stanu istotnego „nędzy rolnej“, któraby wyświetliła faktyczną stronę rzeczy i do „pieśni“ oburzenia i elegii dorobić pozwoliła „słowa“ prawdy. Ale i z drugiej strony cyfry wskazują jasno, że dla prawdziwej, odważnej pracy jest pole działania i przy stosunkach dzisiejszych.

W pierwszym zeszycie statystyki urzędowej na rok bieżący (*Vierteljahreshefte zur Statistik d. D. Reiches*) znajdujemy ciekawy materyał cyfrowy dotyczący młodzieży pracującej po fabrykach. Według sprawozdań inspektorów fabrycznych pracowało w r. 1892-im 209 tys. robotników liczących mniej niż 16 lat (w r. 1890-im 242 tys.). Dobroczynny wpływ prawodawstwa staje się widoczniejszym jeszcze, jeżeli rozbijemy tę sumaryczną cyfrę na drobniejsze ogniwa. Chłopców mianowicie do lat 14 liczono 7315 (w r. 1890 — 17,256), dziewcząt w tymże wieku 3,897 (w roku 1890-ym 10,230); chłopców od 14—16 lat pracowało 128 tys. (w r. 1890-ym 139 tys.), dziewcząt 69 tys. (poprzednio 76 tys.). Porównywając więc cyfry te z odnoszącemi się do epoki o dwa tylko lata wcześniejszej, zauważymy, że w stosunku do pracy dzieci (tj. do 14 lat) nastąpiło zmniejszenie o 59%, które w głównej części przypisać należy wpływowi rozporządzeń ograniczających pracę dzieci po fabrykach. Najwięcej stosunkowo ofiar pożerają przemysł tkacki (32%) potem przemysł wyrabiający środki spożywcze (14%). Ilość robotników pomiędzy 14—16 rokiem zmniejszyła się o 8%. Z tych 26% pracowało w warsztatach tkackich, 12% w zakładach przerabiających metale itd. W r. 1892-im ilość zajętych w przemyśle dorosłych robotnic wynosiła 567 tys., z których 225 tys. (40%) miała 16—21 roku, 341 tys. (60%) liczyła więcej nad 21 lat. Połowa ogólnej liczby (283 tys.) pracowała w przemyśle tkackim.

Z tego samego źródła czerpiemy i następującą tabliczkę, również jak i poprzednia dla nas ciekawą. Liczba wychodźców niemieckich wynosiła w r. 1893 84,5 tys. ludzi. W porównaniu z poprzednimi dwoma laty okazuje się znaczny upadek: w r. 1892-im liczono 112 tys. emigrantów, w r. zaś 1891-ym aż 115 tys. Dwa te lata były szczególnie niepomyślne, gdyż w trzech poprzedzających (1888—90) liczba była mniej więcej stała po nad 90 tys. Z 84 tys. emigrujących niemców większa część 75 tys. udała się do Stanów Zjednoczonych, reszta w niewielkich ułamkach do Brazylii (1169), do innych części Ameryki, do Afryki, Azyi i Australii (261). Największy procent emigrujących dostarczyły i tym razem Prusy Wschodnie, skąd na 100 tys. mieszk. emigrowało 459 (w r. 1892—933). Poznańskie rzuciło w przepaść wychodźctwa 434 ludzi na 100 tys. mieszkańców, Pomorze zaś 389. Z całego państwa najliczniejszą rzeszę molochowi nędzy i rozpaczy ofiarowała Brema — 515 ludzi.

Zen. Por.

*) Szeffel = $^1/_2$ korca.

W SEKCYI ROLNEJ.

Jak gospodarować w majątkach opuszczonych? — Chęci, czyny i trudności. — Proste sposoby. — Co zrobiła delegacya cukrowniczo-rolna? — Dział praktyczny porządku dziennego. — Bukownik. — Łubin. — Odczyt d-ra Natansona. — Ostrożność. — Projekt rozpowszechniania prac specyalnych, odczytywanych w sekcyi. — Kilka słów w sprawie uprawy nasion. — Handel nabiałowy i szkoła mleczarska.

Jak gospodarować w majątkach opuszczonych?“ Jest to pytanie, które niewątpliwie setki ust często powtarzają śród nowonabywców i nie znajdują na to odpowiedzi zadawalającej względnie do środków, zdolności i wiedzy. Specyalna delegacya przy sekcyi rolnej postanowiła przynieść wielką usługę krajowi i w tym celu opracowała wskazówki, które mają podźwignąć ten pokaźny odłam gleby wyniszczonej, opustoszałej, przechodzącej z rąk do rąk. Posłuchajmy, co mówi ta recepta, napisana przez p. Michała Szwejcera: Oddzielić użytki od nieużytków, dokonywać robót tylko niezbędnych, skompletować inwentarz i narzędzia, unikać nadmiernej liczby najemników i budowli niezbyt potrzebnych, w wyborze inwentarza głównie liczyć na miejscowe warunki pastwiskowe, sprawdzić, czy niema surogatów nawozowych, nie używać udoskonalonych narzędzi na ziemi zdziczonej, lecz obrabiać ją pierwotnym sposobem. Ale! jeszcze zapomniałem; mały warunek: posiadać odpowiedni fundusz na kupno ziemi i zagospodarowanie. Kto chce kupić zdewastowany majątek i oprzeć na nim swój byt, niech się zaopatrzy w powyższe przepisy. Poczciwi to są ludziska ci członkowie sekcyi i różnych delegacyi. Radzą chętnie, szczerze, poświęcają swój czas i siły na opracowywanie różnych wskazówek. Ale interesowani mogą im bardzo często odpowiedzieć jak pacyenci lub ich blizcy— lekarzowi spóźnionemu: Dziękuję, jestem już zdrów! albo: — Dziękujemy, chory już umarł!

A jednak, ile razy widzę p. Szwejcera z zapałem i swadą przemawiającego, zawsze wielką mam chęć uścisnąć jego prawicę za szczerość niekłamaną i istotną chęć dopomożenia chromającym lub upadającym. I żal mi go jednocześnie, że między górą dobrych chęci a doliną czynów takie wielkie morze trudności panuje; że wysłuchawszy długich dowodzeń i wskazówek, trzeba dobrotliwie głową pokiwać, westchnąć i pocieszyć się przysłowiem o cioci, która mogłaby być wujaszkiem, gdyby tylko miała... wąsy... Tanio a dobrze gospodarować — to jeden z wielkich ideałów rolnika, a często daje się osiągać małymi środkami. Na tej poczciwej glebie dzieją się takie poczciwe i proste sposoby! Np. jeżeli chcecie zaopatrzyć grunt wyjałowiony w tani nawóz torfowy, próchnicowy, szukajcie taniej zwózki. Gdzież jej szukać, jeżeli, jak utrzymuje członek sekcyi, p. Łubieński, furmanka włościańska jest tanią tylko dla żyda? Jeżeli chłop ma w zimie wiele korzystniejszych zarobków, niż wożenie nawozu po 5 kop. za furę? Zapewnijcie mu 30—40 dni zarobku stałego, a będzie wam woził — powiada p. Szwejcer; postara się zwieźć 20 fur dziennie, więc rubla zarobi i ślad jego pracy zostanie. Ale co zrobić, jeżeli i te kilkadziesiąt dni stałych nie zachęci go wcale? Otóż na to jest ów sposób wielce poczciwy a prosty: Upatruję porządnego najemnika — mówi p. Szwejcer — daję mu drobną monetę i każę pilnować podróżnych. Jedzie chłop do miasta z pustym wozem lub wraca z solą: Stój! Chcesz parę groszy zarobić? Dla czegóżby nie! — No, to jedź duchem, zwieź parę fur nawozu! Tanio, dowcipnie i bez wielkiego kłopotu. Nie trzeba jechać do wsi, przekonywać, prosić; chłop sobie odskoczy z drogi; zarobi na rozgrzewkę i baba nawet nie będzie wiedziała. O tym sposobie powinni również pamiętać nowi właściciele majątków zdewastowanych.

Ale garść uwag p. Łubieńskiego odsłania inną stronę rzeczywistości. Dziś nawet majątki nieźle zagospodarowane nie mają chętnych nabywców. Czyż zatem znajdzie się rozsądny człowiek, który mając kilka lub kilkanaście tysięcy gotówki, utopi ją w ziemi wyniszczonej, opustoszałej? Największe zło leży w tem, że ziemianie zrujnowani zbyt późno przystępują do likwidacyi, każdy stara się tę nieszczęśliwą ziemię wycisnąć do ostatka i opuszcza ją dopiero wtedy, gdy się już nic nie da z niej wyciągnąć. Cóż dziwnego, że gleba ta, albo idzie za bezcen albo pod kierunkiem nowego niedoświadczonego właściciela zamienia się na pustynię, która tak chciwie pochłania największe kapitały, jak suchy piasek wodę. Względnie więc jest najpraktyczniejszy środek, zalecany już kilkakrotnie przez p. Jeziorańskiego: zawczasu kosztem całego majątku ocalić cząstkę najlepszą.

Na ostatniem posiedzeniu dowiedzieliśmy się, co dotąd zrobiła delegacya cukrowniczo-rolna dla wygładzenia stosunków między plantatorami buraków a właścicielami fabryki. Zajęła ona stanowisko badawczo-spostrzegawcze i stała się tylko

organem doradczym. Słowem, nie chcąc wkładać swych palców w zbyt drażliwe szpary, z których przegląda wyzyskiwanie położenia materyalnego hodowców — zdaleka czyni grzeczne uwagi. Może właśnie ta polityka, chęć palenia dwu świeczek dwom różnym siłom, sprawiła to, że dotychczas bardzo mało cukrowni weszło w układy z hodowcami buraków z korzyścią obustronną. A przecież delegacya jest przedstawicielką obu grup interesowanych. Można więc było w ciągu roku jakiś wyraźniejszy ślad zaznaczyć.

Obok rozpraw teoretycznych, prawie nigdy nie prowadzących do celu, na dwu ostatnich zebraniach rolników (zwyczajne 12-go i nadzwyczajne z powodu wystawy nasion 13 b. m. (uwzględniono parę przedmiotów praktycznych, ściśle związanych z potrzebami ziemian i rozwojem tego działu pracy. I gdyby takie kwestye zawsze zajmowały wybitniejsze miejsce w porządkach dziennych sekcyi, rolnicy więcej wynieśliby z tąd korzyści niż z długich referatów o dewastacyi i parcelacyi. Przedewszystkiem p. Ujazdowski zapoznał słuchaczów z rezultatami prób dokonanych z nowem narzędziem t. zw. bukownikiem p. Postawki, przyrządem do omłotu koniczyny. Posiada on jeszcze pewne wady, a najważniejsza z nich — wysoka cena narzędzia. Z czasem atoli techniczne niedokładności dadzą się usunąć, koszt zaś w miarę wzrostu powodzenia, zapewne zniży się znacznie. Będzie to dla gospodarstw rolnych nabytek bardzo ważny.

P. Szwejcer podzielił się długoletniemi spostrzeżeniami przy hodowli łubinu i wywołał szereg wielce pożytecznych wyjaśnień naukowych o grzybkach, niszczących tę roślinę i o sposobach ich niszczenia. Wreszcie niezmiernie ważny był wykład d-ra Natansona o wpływie saletry chilijskiej na uprawę buraków. Sprawozdawca przedstawił obraz i rezultaty swej pracy rzetelnej; idąc za wskazówkami Merkera, poczynił wiele cennych i nowych spostrzeżeń, przesłał je do Halli i otrzymał— uznanie. Co jednak uczony o sławie europejskiej podpisał, nie zupełnie trafiło do przekonania naszych rolników. I tym razem ujawniła się owa nieufność znamienna, z jaką w pięknym obrazku Korolenki („Zaćmienie słońca“) tłumy spoglądały na teleskopy, wycelowane do nieba. „Należy być bardzo ostrożnym względem tego, co nam p. Natanson zaleca.“ „Trzeba to wypróbować pod dozorem zbiorowego ciała rolników.“ Nie wiem, czy do tego „ciała“ wejdą ludzie doświadczeńsi i bardziej niż p. Natanson zasobni w wiedzę. To tylko pewna, że jeżeli chodzi o sprawdzenie wartości jego pracy, to szkoda, że p. Natanson swój trud ofiarował na taki użytek publiczny. Jeżeli zaś próby te mają na celu rozpowszechnienie wskazówek referenta, zbyteczne jest to czynić za pośrednictwem uroczystych ciał i delegacyi, które (nie ujmując wytrawności i wiedzy fachowej ich członkom), mogą być mniej przysposobione do badań w tej mierze dla wydawania ostatecznych wyroków, jako gotowych formuł i zasad.

Należałoby tylko takie sprawozdania i wskazówki, jak d-ra Natansona, szerzej rozpowszechniać. Na ostatniem posiedzeniu bardzo słuszne słyszeliśmy uwagi, że doniosłe dla rolników prace, odczytywane w sekcyi, idą do archiwów, że ze streszczeń, drukowanych w *Gazecie rolniczej*, nie wiele można się nauczyć. Specyalne sprawozdania, rozszerzające widnokrąg wiedzy rolniczej, nie utrwalają się w pamięci nawet najbardziej przysobionych do tego umysłów. Trzeba te prace mieć zawsze pod ręką, zaglądać do nich często i przetrawiać je. Tym czasem nawet z tej nielicznej garstki, zebranej w sali, w chwili czytania takich sprawozdań pewna część wymyka się chyłkiem do innego pokoju na pogawędkę lub papierosa. Więc i w tym dziale, mającym bezpośredni związek z praktyką, praca jest zmarnowana. Ktoś zaproponował utrwalanie jej w osobnych rocznikach, na co p. Jeziorański przedstawił ważne przeszkody: znaczny koszt wydawnictwa. Natomiast podano o wiele racyonalniejszą myśl drukowania tych prac całkowicie w pismach rolniczych. „Nie wszyscy te pisma abonują i czytają“; — ktoś dorzucił. A więc tembardziej nie będą kupować i czytać poważnych roczników. Temu, że rolnik nie chce czytać swych pism specyalnych, sekcya nie zaradzi, nawet przy pomocy wszystkich delegacyi i całej armii swych radców.

Z powodzi długich rozpraw na temat już dobrze znany w zakresie uprawy nasion, zasługują na uwagę wnioski: zaprowadzenia statystyki tej gałęzi gospodarki, zawiązywania kółek hodowców, przysposabiania fachowców za pomocą praktyki zagranicznej, rozpoczęcia racyonalnej uprawy od hodowli nasion leśnych i pastewnych wreszcie urządzania wystaw i targów ,nasiennych w terminach najodpowiedniejszych dla rolnika. Wszystkie te sprawy przekazano osobnej komisyi, czyli cała rzecz, jak zwykle, jest w porządku...

Szkoda, że w ciągu dwudniowych rozpraw nie wystarczyło czasu na wyczerpujące rozpatrzenie kwestyiześrodkowania handlu nabiałowego w Warszawie i założenia szkoły mleczarskiej.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wkrótce przekształcona będzie inspekcya fabryczna. W gub. petersburskiej, estońskiej, moskiewskiej, twerskiej, riazańskiej, włodzimierskiej, jarosławskiej, kostromskiej, niżegorodzkiej, warszawskiej, piotrkowskiej, grodzieńskiej, chersońskiej, kijowskiej, podolskiej i charkowskiej ustanowiona będzie surowa kontrola i wzmocniony personel inspekcyi, zgodnie z prawem fabrycznem o dozorze i o stosunku wzajemnym fabrykantów i robotników, przy zastosowaniu tego prawa w całej rozciągłości. Ogólna liczba urzędników w powyższych guberniach wyniesie 76 osób; w pozostałych zaś 42 inspekcya ma się składać z 67 osób. (*Now. wr.*).

— Departamentowi heroldyi między innemi powierzono prowadzenie listy osób, pozbawionych szlachectwa. Nie mogły one z wielu przyczyn być prowadzone dokładnie i ściśle. Otóż obecnie wyższa władza zobowiązuje zarządy gubernialne lub odpowiednie instytucye do nadsyłania wszelkich wiadomości w tej mierze na ręce zebrania deputatów danej gubernii lub wprost do heroldyi.

— Prof. Mendelejew został wydelegowany przez ministeryum skarbu do Londynu dla odebrania sporządzonych tam prototypów miar i wag ruskich tudzież dla porównania ich z prototypami w Anglii i we Francyi.

— Galicyjskie Towarzystwo politechniczne liczy 634 członków, wydaje czasopismo pod redakcyą prof. Dźwińskiego. Fundusz żelazny 1,513 zlr.

— Do 32 ochron w Warszawie pod opieką Tow. dobr. uczęszcza przeciętnie 2,844 dzieci dziennie.

— Senat rządzący wyjaśnił, że w razie wytoczenia akcyi kryminalnej urzędnikom nie należy ich uwalniać ze służby, o ile sami nie podali się do dymisyi przed ukończeniem sprawy sądowej. Władze bezpośrednie mogą jedynie usunąć ich tymczasowo.

— Ministeryum skarbu postanowiło uznać procenty, pobierane przez większość lombardów prywatnych za lichwiarskie. Na przyszłość ograniczone będą do 12% rocznie.

Szkoły. Za staraniem kuratora okręgu naukowego w Rydze postanowiono utworzyć przy szkołach wiejskich luterańskich w prowincyach nadbałtyckich składy książek ruskich. Na ten cel wyznaczono około 2,000 rs.

— Latem w różnych miejscowościach Finlandyi dla nauczycieli ludowych otwarte będą kursy języka ruskiego.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi wydało nowe rozporządzenie, na mocy którego zniesione zostają wymagane dotychczas kwalifikacye na posady pomocników maszynistów kolejowych. Wobec zwiększonego ruchu, dozwolono nadal zarządom kolejowym mianować podług swego uznania pomocnikami maszynistów tych kandydatów, którzy się nadają do owej czynności z warunkiem, aby przez pewien czas pracowali w „depeau“ parowozowem lub też jeździli jako palacze na maszynach.

— Termin rocznych biletów bezpłatnych, wydawanych osobom nienależącym do składu kolei, ponownie przedłużono do 13 kwietnia r. b.

— R. b. oświetlenie elektryczne wprowadzone będzie w wagonach kolei Petersbursko-Warszawskiej.

— Staraniem głównego zarządu dróg skarbowych, powstaje w Warszawie specyalna lecznica wyłącznie dla urzędników i oficyalistów kolejowych.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej postanowił zwiększyć liczbę stróżów drogowych, dla wzmocnienia bezpieczeństwa pociągów towarowych.

— Przekształcone ministeryum komunikacyi będzie miało następujące departamenty: kolejowy, komunikacyi lądowych i wodnych tudzież departament spraw ogólnych. Zarząd portowy i naukowy utworzą osobne wydziały.

Wystawy. W. r. b. zapowiada się znaczna liczba wystaw. Hiszpania, na wzór Ameryki, otwiera z dn. 1 kwietnia międzynarodową Kolumbijską. Podobna wystawa otwarta będzie w Antwerpii 17 czerwca. W Bernie Szwajcarya urządza międzynarodową wystawę rolnictwa, hodowli bydła i leśnictwa. W Londynie 2 kwietnia otwarta będzie wystawa przemysłowa. Na wrzesień i październik przypada powszechna wystawa hygieny w Rzymie. W Erfurcie latem wystawa przemysłowa środkowo-niemiecka. W Wiedniu pomiędzy 20 kwietnia a 10 czerwca wystawa międzynarodowa z zakresu dobroczynności publicznej. Dnia 1 czerwca w Madrycie otwarta będzie pierwsza wystawa powszechna sztuk i rzemiosł. W Petersburgu — międzynarodowa wystawa owocarska. W Wiedniu Towarzystwo przemysłu dekoracyjnego urządziło wystawę wyrobów sztuki złotniczej. W Petersburgu 14 b. m. otwarto międzynarodową wystawę maszyn i narzędzi, służących do oczyszczania, sortowania i suszenia nasion.

— Dla Rosyi na wystawie powszechnej w Antwerpii tudzież na rolniczej w Tromse (Szwecya) przeznaczone będą specyalne wydziały przemysłu drobnego.

— W r. b. główny zarząd stadnin państwowych postanowił urządzić wystawę koni włościańskich roboczych i źrebaków jednorocznych: w Lublinie 13 maja, w osadzie Pławno (gub. piotrkowska) drugiego dnia dorocznych wyścigów; w Wołkowyszkach (gub. suwalskiej) 16 września i w osadzie Janów gub. siedleckiej 26 sierpnia.

Zdrowie publiczne. Z rozporządzenia ministeryum komunikacyi, służba zdrowia na kolei Nadwiślańskiej będzie wzmocniona: zamiast 6-ciu lekarzy etatowych— 7-miu, zamiast 10 felczerów — 14-tu.

— Służba policyjna w Warszawie otrzymała polecenie nie dozwalać, ze względów zdrowotnych na wywieszanie kart o wynajmie lokalów w domach, których budowa była w r. z. rozpoczęta lub teraz na wiosnę ma być ukończona.

Zmarli. Michał Hórnik, przywódca serbów łużyckich, prezes Maticy serbsko-łużyckiej, w Budyszynie. Był księdzem, stał na czele ruchu narodowego serbów łużyckich wraz z Janem Ernestem Smolerem. R. 1862 został wezwany na profesora literatur słowiańskich do Szkoły Głównej w Warszawie, lecz wolał pozostać w kraju dla dobra własnego narodu. Razem z Wilhelmem Bogusławskim napisał „Dzieje serbów łużyckich,“ należał do ułożenia Słownika.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 19—24 **Historyi filozofii nowożytnej**.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Марта 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.